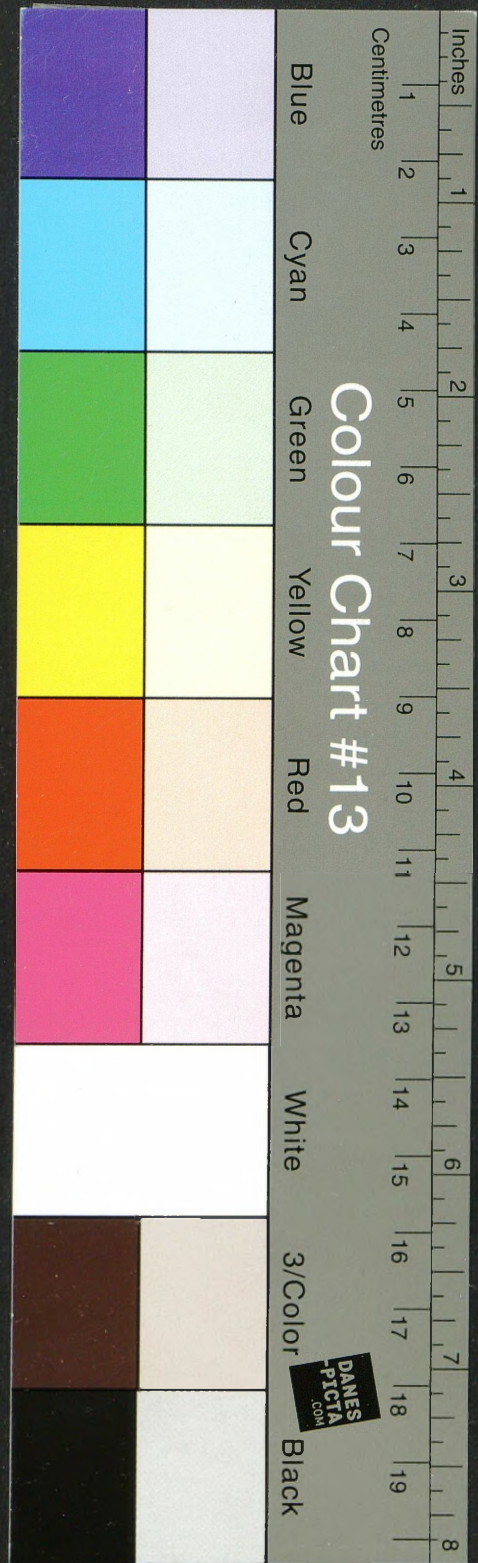
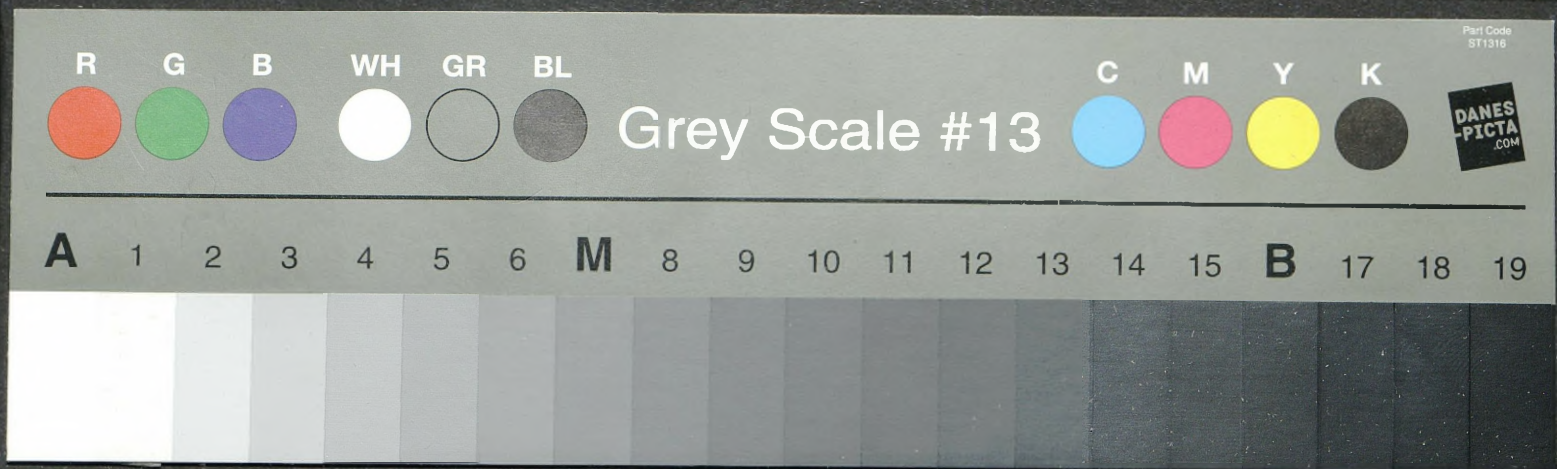
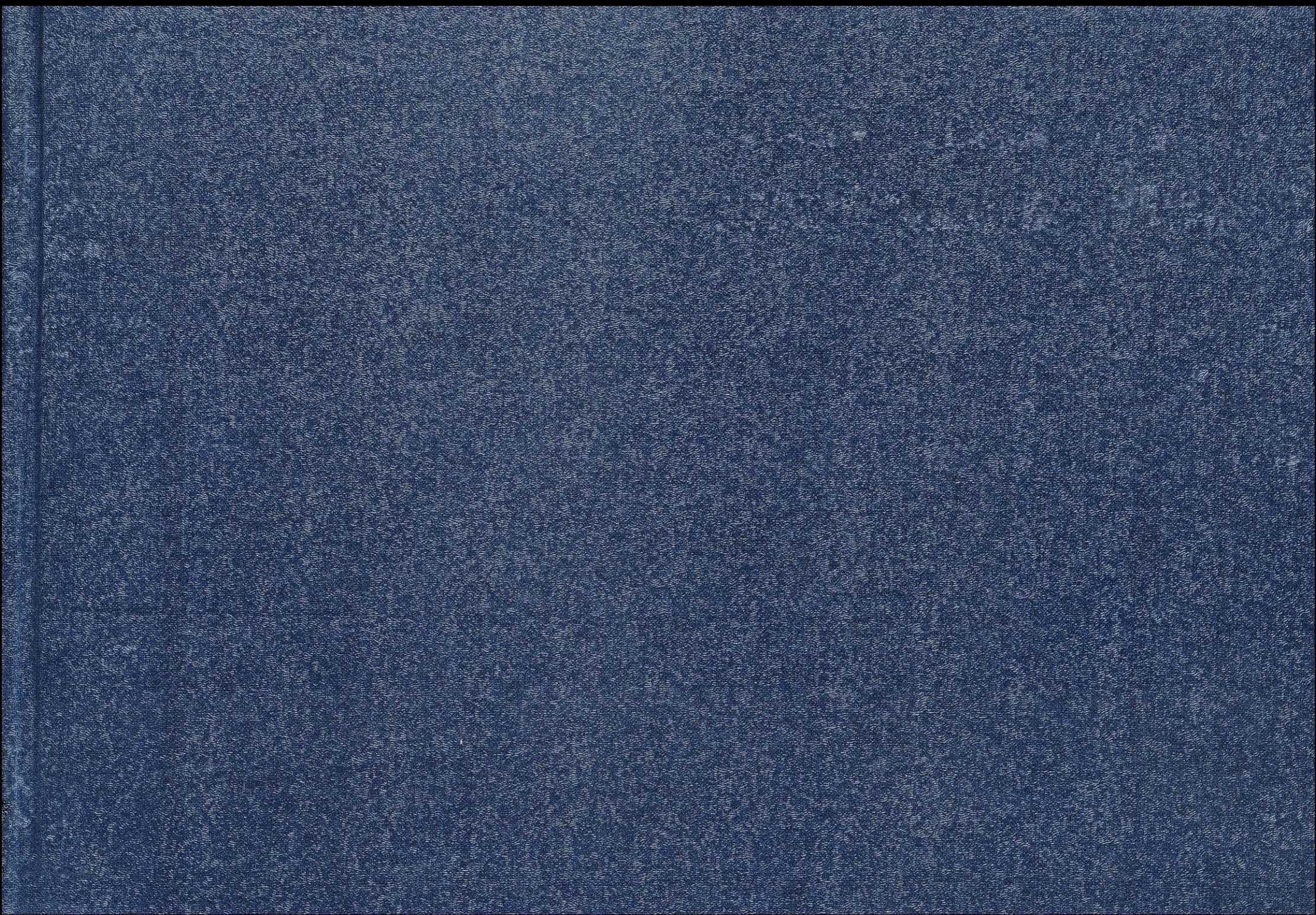






Wydawnictwo "Polska" w Warszawie
do studiów nad "Polską w wojnie"
Marya Bruchnałska 249

MARJA BRUCHNAŁSKA

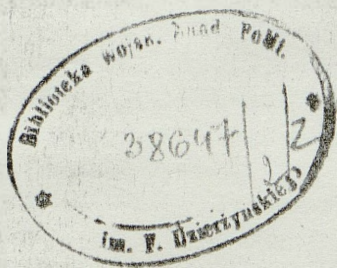
11/II 1936

dop/2.

Z OBRONY
BOHATERSKIEGO LWOWA
I MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

UDZIAŁ ZIEMIANEK

LWÓW
NAKŁADEM ZJEDNOCZENIA POLSKICH CHRZEŚC. TOW. KOBIECYCH
1930



Zimą 1929 r. wezwana zostałam przez prezydium Ziemiaków Małopolskich do obeśdania Wystawy w Poznaniu zbiorami memi z roku 1863, z lokatą w Pawilonie Ziemiaków i Włościanek. Równocześnie posławiona byłam przez to same prezydium na czele Sekcji historycznej z misją zebrania wspomnień o udziale Kobiół z rodzin ziemiańskich w czasie wielkiej wojny i obrony Lwowa. Słód powstał szkic niniejszy, który wydać Ziednoczenie polskich, chrześcijańskich łowarzyskw kobiczych na dochód Muzeum pamiątek po zasłużonych Polkach. Cel sam i miejsce bohaterskiego Lwowa, na którym toczyła się akcja kobicł wymienionych w szkicu, poleć go łaskawej ocenie i sercu Kobicł polskich.

Marja Bruchnalska.

KOBIEТЫ ŻOLNIERZE.

Gdy w dniu 1 listopada 1918 r. ludność miasta wracała z cmentarzy, jak przysłało w dniu poświęcone pamięci zmarłych, zdumiała ją po ulicach uwijające się furgony, raczej lory do wożenia śmieci, a na nich wyprostowani bułnie ruscy heroje z karabinami, wymierzonymi w piersi bezbronnych przechodniów. Dziwne te pojazdy nie uwijały się darmo: tu padła od ich strzałów kobieta, wychodząca z katedry, tam mały chłopczyk pod progiem własnego mieszkania (Michalewski przy ul. Kącik 1), indziej spokojnie idący mężczyzna, którego niby puszczano wolno, a gdy wyminał Rusinów, palono do niego z tyłu, mierząc w głowę z zasadzki, wedle prastarego ruskiego zwyczaju.

Polacy, wymęczeni długoletnią wojną, spragnieni spokoju, zmarliweli zrazu, lecz wkrótce oprzytomnieli i poczęli się organizować do obrony. Szanse walki były nierówne. Rusini bowiem zaopatrzeni byli w broń przez Aushjaków, którzy, nie mogąc dłużej władać Galicją, oddali ją w ręce ruskie z bronią, kasarniami, magazynami wojskowymi. W rękach polskich były pusłki, w sercach żal do zdradzieckiej Austrii i lęk przed braćmi Rusinami, którzy głośno obiecywali sobie, »pohulać i krew łacką posać«.

Zaczęło się z naszej strony zrywać małe grupki ku wspólnej obronie. Wśród tych pierwszych obrońców nie mogło braknąć i kobiet, szczególnie z tego powodu, że wielu mężczyzn, zagnanych wichurą wojenną, jeszcze nie wróciło do domów. W braku więc wyćwiczonego żołnierza musiała nieraz starczyć słaba dłoń kobieca, w braku kurje-

rów krzątały się kurjerki, które w czasach, gdy mięso było zajęte przez Rusinów, a w części przez Polaków, spełniły rolę niezmiernie ważną nie tylko łącznika wśród ludności, lecz także wobec młodzieży męskiej, chcącej przedostać się na »polską stronę«, do zwiększającej się grupki obrońców.

Historja dawnej Rzeczypospolitej uczy na licznych przykładach, jak bitny i mężny jest naród polski, który w obronie kraju rozbił i w puch roznosił wrogów dziesięćkroć silniejszych, obrona Lwowa w 1918 r. jest świeżym stwierdzeniem tej prawdy. Jak dokonała się początkowa obrona naszego grodu, opowie nam urywek pamiętnika, na marginesie zeszytu pisany przez jedną z dzielnych jego obrończyń, a który to pamiętnik, dzięki uprzejmości rodziny, otrzymaliśmy jako dar do Muzeum Zasłużonych Polek. Wpierw jednak zaznaczyć musimy, co jest w tej chwili naszym zadaniem i jaki cel tego obrazu, skreślonego z autopsji. Że kobiety i dzieci brały udział w obronie Lwowa, było już niejednokrotnie podnoszone. Obecnie chodzi o zaznaczenie, że wśród kobiet czyło walczących o Lwów z bronią w ręku, czy pomagających walczącym na innych polach, jak w służbie kurjerskiej, sanitarnej, zaprowiantowaniu oddziałów, znajdzie się kobiety z rodzin ziemiańskich, choćby od dłuższego czasu osiadłych w mieście. Nie idzie tu o wywyższenie i wciskanie się przemocą w rzędy zasłużonych dla Lwowa niewiast, lecz tylko o stwierdzenie i przeliczenie się z ścisłością i prawdą. Jeślibyśmy się wzorowali na historii dawnych czasów, która dzielnych wojowników odznaczała godnością szlacheclwa, to nie dziwi nas, że cały Lwów jako gród mężny, kresowy, dawno słusznie wyniesiony był do godności legoż pięknego szlacheclwa, a jego obywalele »cives Leopolienses« byli »nobilibus pares«, czyli równi szlachcie. Toż w obronie Lwowa biorące udział kobiety, a szczególnie poległe, godne byłyby bez wyjątku być zaszczycone tem mianem honorowem. I tak też wszyscy dobrze myślący i wdzięczni Polacy i Polki mają zapisane je w sercach. Koło jednak Ziemianek Małopolskich pragnie upamiętnić imiona tych kobiet, które należą urodzeniem do rodzin ziemiańskich, i z dumą postawić je obok dzielnych mieszczanek Lwowa. Zanim wymienimy je po imieniu i nazwisku, przyłoczmy wspomniany

urywek pamiętnika ś. p. Haliny Tolloczkówny, biorącej w obronie Lwowa czynny udział.

H. Tolloczkówna pochodzi z rodziny obywatelskiej, z Grodzieńskiego. Dziad jej Antoni, po konfiskacie majątku po roku 1831, był pełnomocnikiem w dobrach hr. Tyszkiewicza, ojciec Adam za udział w 1863 r. zesłany był do Samary. Halina, urodzona w 1893 r. w Moskwie, przeniosła się później z rodzicami do Lwowa i studiowała tu medycynę. Na początku wojny światowej (1914 r.) pracowała w Czerwonym Krzyżu na Politechnice. — Podczas walk z Rusinami 1918 r. była od samego początku czynna, a oto co wspomina o tem uczestnictwie w swych zapiskach:

...Przypomina się ów pierwszy dzień listopada, taki ponury, smętny ranek mglisty; jakieś podmuchy złowieszcze, krążące w powietrzu. Wyszłam na ulicę, tu i ówdzie żołdacy rusko-austriaccy, z żółto-niebieskimi opaskami krążą, ale jacyś niepewni; ledwo stojący na nogach land-szumiści austriaccy warły lizymają.



Halina Tolloczkówna.

Łkanie wewnętrzne gardło mi ścisnęło. Jakto, więc ci niepewni swego własnego jutra, ci potomkowie dawnych hord Chmielnickiego i Nalewajki mają tu panować? Nie, chyba nigdy... Spolykam dwie koleżanki, zamieniamy parę słów, wtem podchodzi »strilec« ruski z karabinem wpogotowiu i mówi: »Rozyżłysia, bo strilaju«. O, gdybym miała wówczas broń przy sobie, zdaje mi się, że nie namyślałabym się długo. Taka mnie wówczas wściekłość ogarnęła, że w jednej chwili zrozumiałam, iż konieczną jest obrona prze-

ciwko gwałtowi zadanemu miastu, i to obrona natychmiastowa. Czułam, że gdzieś muszą być nasi, że musimy się bronić choćby na śmierć i życie.

Postanowienie zrodziło się w jednej chwili. Poszłam szukać ludzi, którzyby coś więcej wiedzieli o sytuacji niż ja i którzyby wskazali, gdzie należałoby się zwrócić. Podniecały mnie co chwila słyszane strzały karabinowe w różnych stronach miasta. Naprzeciw siebie ujrzałam autobus najezony karabinami i odważnych żołdaków austriacko-ruskich, strzelających wzdłuż ulicy Leona Sapiehy w tłum i w kościół Marii Magdaleny. Dopiero koło wieczora dowiedziałam się, że nasi, garstka zapaleńców broni się w szkole Sienkiewicza — czy doczeka julia, niewiadomo — nikt mi nie powiedzieć nie umiał. Nikt też pewnych wskazówek dać nie mógł, a strzały rozlegały się ze wszystkich stron miasta.

Znużona, wróciłam późnym wieczorem do domu z postanowieniem, bądź co bądź jutro rano dostać się do szkoły Sienkiewicza; tymczasem muzyka karabinowa coraz bardziej zajadłe dochodziła do mego mieszkania; nie były to już pojedyncze strzały, ale nieustanny ogień karabinowy. Nazajutrz, wczesnym rankiem, bez przeszkód dostałam się do szkoły, zgłosiłam się do kapłana Boruły, który mnie przydzielił czasowo do intendantury. Tam już pozostałam. Jakie miłe wspomnienia zostały mi z tego dnia! Jaka radość z każdego zdobytego karabinu, koni, furi, a cóż dopiero, gdy zdobyło pierwszy karabin maszynowy i pierwsze auto! Ochotników napływało coraz więcej, entuzjazm szalony ogarniał wszystkich. A jednak klóść nam mógł zaręczyć, że za kilka dni nie będziemy oddani na pastwę ruskich fanatyków? Wszak nas zaledwie garstka, kilkudziesięciu ludzi, a ich było kilkaset uzbrojonych, mieli amunicję. To też walka ta mogła być tylko rozpaczliwym odruchem na gwałt zadany narodowi. Jedną jednak myśl przejmowała wszystkich: zginąć lepiej, a nie poddać się, obronić bodaj parę ulic, zanim przyjdą posiłki z zachodu. Wszak Kraków, Warszawa nie oddadzą na pastwę wroga tej twierdzy kresowej, tego polskiego grodu. Wieczorem zaczęto sprowadzać jeńców, wśród nich pułkownika ukraińskiego. Cóż za pocieszną miał mnie,

zdaje się nie zdawał sobie dobrze sprawy, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

Gdy noc nasłala, zwołał kpt. Boruła ochotników na odbicie dworca — przeprowadzić nas mieli kolejarze. Zgłosiło się nas 26, prowadził porucznik Wilhelm Stark. Pierwszy raz otrzymałam wtedy chrzest ognia i po raz pierwszy słyszałam gwizd kul tuż koło uszu, zaglądając co chwila śmierci w oczy. Byłam jednak zbyt podniecona, by mieć czas i moc odczuwać lęk jakikolwiek. Parę kroków ode mnie padł Kolbuszewski, a dalej jeszcze jeden... i jeszcze jeden... Lęk rannych, zmieszany z nieustannym grzecholem, tworzył muzykę łaką jakąś piekielną, jakby jakiś marsz straszny, szalony i podniecający.

Wróciłam koło drugiej w nocy do szkoły; prawie natychmiast przytomna ze zmęczenia i z przeżytych wrażeń rzuciłam się na gołą podłogę pod stół, by zdrzemnąć, jednak tyle myśli szalonych, gorączkowych wleczyło się do mózgu, że nie mogłam zasnąć. Czułam, że od dziś mam prawo nazwać się żołnierzem, że wolno mi mundur wojsk polskich włożyć... Zaczęły się dnie gorączkowej walki, a poza tem zwożenie broni, mundurów, żywności z magazynów kolejowych; dnie zbiegały, ani nie było można się obejrzeć kiedy. Gdy mi się tylko nadarzyła sposobność, przylączałam się do patroli, nieraz zmienialiśmy placówki, mimo to gorączka walki nie męczyła mnie wówczas, cztery i pięć nocy nieprzespanych, spędzonych z bronią w ręku, nie nużyły mnie wcale.

Dnia 7 listopada składaliśmy przysięgę na wierność ojczyźnie.

2 listopada zostałam przydzielona do komendy aulu pancernego. Myśl utworzenia tego małego samochodu, opancerzenie go prawie nadludzkimi wysiłkami w ciągu 24 godzin, było prawdziwie pięknem, zdumiewającym. Ileż korzyści mógłby być przynieść ten mały opancerzony Piłsudski, gdyby dostał komendanta godnego. Tymczasem komendę objął jakiś młodzieniaszek, nie mający wyobrażenia o walce opancerzonych wozów. Pierwszy wyjazd skończył się dość niefortunnie, naboje do pierwszego karabinu maszynowego były założone odwrotnie, maszynka nie dopisała, komendantowi znudziła się zabawka, poszedł spać do pałacu Dinińskich,

a auto zostało przyciągnięte jak wóz bez woźnicy do szkoły Sienkiewicza.

W tej komendzie nieszczęsnej zaczęły się powoli refleksje nad tem, co się w niej działo. Zaczęły się bowiem pijatyki, nieporządki wśród własnych naszych żołnierzy, a brak dyscypliny dawał się odczuwać na każdym kroku. Odląd przy każdej sposobności starałam się wymknąć na patrol lub na placówki, najczęściej z oddziałkiem kapłana W.

Niemile też działały na mnie stosunki w samej komendzie... to też czułam się dobrze i odpoczywałam moralnie, gdy byłam na patrolu lub na placówce, tam przychodziłam do życia dopiero wśród gradu kul, patrząc śmierci w oczy i drwiąc z niej...

Nadszedł dzień 21 listopada, z nim długo oczekiwane posiłki z zachodu, — Lwów był wolny! Był to dzień pierwszy wolnego, polskiego Lwowa.

Od tego czasu powzięłam coraz większą niechęć do mojej komendy. Zraziło mnie to, że naraz w pierwszy dzień po oswobodzeniu Lwowa auto, które przez dwa tygodnie stało bezczynne, pojechało na dzielnicę Krakowską, skąd wróciło pełne... zdobytymi rzeczmi. Posłanowiłam przy pierwszej sposobności przenieść się do innego oddziału, a w międzyczasie chodziłam dalej z kapitanem W. na rozmaite wycieczki, aż przed świętami zostałam lekko ranna w nogę, więc musiałam parę dni przeleżeć, a po świętach pojechałam na kilka dni do Krakowa. Po powrocie dowiedziałam się, że kobiety mają być wycofane z frontu, ponieważ zaś ulworzyła się »Legja Kobietał, wstąpiłam do niej tymczasowo. Stosunki jednak wewnętrzne, brak koleżeństwa, zbieranina z najrozmaitszych warstw, zniechęciły mnie bardzo prędko do tej w zasadzie pięknej instytucji.

Dziś czekam z upragnieniem końca, spokoju, by się zabrać do pracy umysłowej. Czuję się przemęczona fizycznie i moralnie, nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, jedna noc, spędzona na warcie, dobija mnie na cały tydzień. Jedno też wojnie zawdzięczam, że się nauczyłam patrzeć śmiało w oczy śmierci i nie cenić życia... Lwów 27/XI 1919 r.

Zapiski pamiętnika urywają się, gdyż i młode życie żołnierza-kobiety urywa się na wojennej służbie. W marcu

bowiem, pełniąc służbę koło Pasiek Miejskich, zaziębła się śmiertelnie Halina Tolloczkówna i dnia 25 tegoż miesiąca 1919 r. zmarła, mając lat 26. Idealnie patrzącej na świat i obowiązki wobec społeczeństwa i kraju wojownicze naszej wydała się rzeczywistość, z którą zelnęła się w czasie obrony Lwowa, tak smutną, tak inną od marzonej, że osłabnie uwagi, ręką jej pisane, tyle mają w sobie goręczy, iż je w tej chwili przemilczeć wolimy. Nie umiała sobie wytłumaczyć pewnych wybryków czy nadużyć dawną maksymą »à la guerre comme à la guerre«, przeciwnie od żołnierza prostego czy dowódcy wymagała doskonałej uczciwości i strzeżenia nakazów honoru. A że tego nie widziała wszędzie w czynie, myślała o wycofaniu się w kadry pracowników umysłowych. Żal do ludzi poszczególnych czy ogółu, obciążający społeczeństwo, jej samej przynosi tylko zaszczyt i stwierdza przynależność zmarłej do warstwy obywatelstwa z białego dworu, w którym przez pokolenia całe, a szczególnie w linii żeńskiej, kultywowano zasady patriarchalnej uczciwości, prostego honoru, poszanowania cudzej własności i tej rycerskości, którą lubimy się tak szczycić, a której w czasach najnowszych tak lekkomyślnie się wyrzekamy.

Dzielną tę idealistkę, żołnierza i członkinię Legji Kobiecej przenosiło w roku 1928 na Cmentarz Obrońców Lwowa Towarzystwo Opieki Mogił Polskich Bohalerów, wśród zasłużonych »rycerzyków«. Sędziwy ojciec, dawny sybirak, pochylał się z dumą nad mogiłą córki.

Króciulkim szkicem o Halinie Tolloczkównie wstępujemy w jedną grupę obrońców Lwowa, mianowicie w Szkołę Sienkiewicza. Takich jednak grup było więcej, a przy każdej gromadziły się kobiety gorętszego ducha, nieustępliwe i wytrwale w niesieniu pomocy dla ratowania polskość w grodzie ukochanym. Jedną z takich właśnie placówek i to jedną z pierwszych był np. Dom Akademicki przy ul. Łozińskiego nr. 7, w samym centrum miasta i to ówczesnego ruskiego, a mimo to w pełnej będący akcji. Tuż obok, przy placu Fredry pod nr. 1 na pierwszym piętrze, w lokalu dawnego Komitetu Pracy Obywatelskiej Kobietał, później, od czasu złączenia się jego z Ligą Kobietał i przelopienia na nową jednostkę społeczną, Komitetu Obywatelskiego Polek, było serce

ówczesnej pracy kobiecej, podjętej w celu zrzucenia jarzma ruskiego. Tu bowiem zorganizowała pierwsze kurjerkki pani Aleksandra Zagórska, a komendantem pierwszych 12 czynnych przy komendzie uzupełnień był kapitan Wit Sulimirski.

Jeśli chcemy wymienić kobiety z rodzin obywatelskich, które pełniły służbę kurjerek, żołnierzy czy sanitariuszek, musimy zaznaczyć, że organizatorka kurjerek, a później milicji, wreszcie Ochotniczej Legji Kobiecej Aleksandra Zagórska, z racji swej przynależności rodowej niepoślednie zajmuje miejsce w ich rzędzie, z domu bowiem Luba Radziwińska, pochodzi z rodziny bardzo znanej i usłownikowanej w hierarchii obywatelstwa wolińskiego. Pani Aleksandra, porwana w roku 1905 ruchem rewolucyjnym, który uważała za patriotyczny przeciw przemocy carskiej, przeżyła czas dłuższy w Cyfadeli warszawskiej, gdzie nawet urodził się jej syn z pierwszego małżeństwa. W służbie tej niezmiennie była czynną. W czasie wielkiej wojny mieszkała we Lwowie z mężem, doktorem Adamem Zagórskim. Opresja tego miasta w roku 1918 powołała młodą i piękną kobietę do żywej akcji patriotycznej. Z podziwem patrzyliśmy, jak codzień rano szła polami kulparkowskimi, wśród strzałów swoich i wrogów, ze stoickim spokojem, a wracała nieraz późną nocą od zajęć w organizowaniu służby kurjerskiej w Komitecie Polek (plac Akademicki albo plac Fredry II).

Do rzędu swych pierwszych podwładnych kurjerek, najgorliwiej oddanych sprawie, zaliczała dwie siostry panny Paleolog Helenę i Stanisławę. Gdyby wierzyć, że ród tych kurjerek pochodzi z Grecji i sięga głów koronowanych, to obie siostry miałyby pierwsze miejsce wśród warstw uprzywilejowanych. Nie mając dowodów na to, musimy stwierdzić tylko zapal, wytrwałość i odwagę tych pierwszych bezbronných jeszcze wojowniczek z przemocą ruską.

W tejże grupie kurjerek sprawnością w wypełnianiu rozkazów swej komendantki odznaczyła się panna Felicia Sulimirska, piękna, młodzieńka, szczęśliwa w kole rodzinnem i szczęśliwa narzeczona. Pomimo tych plusów, którymi nie wszystkich obdarzają losy, panna Felicia nie postrapiła przebywać w domowym zaciszu, ukryła przed burzą, która groziła całemu miastu. Zgłosiła się od początku do pani

Aleksandry Zagórskiej i pod jej kierownictwem pełniła służbę, odnosząc depesze na polską stronę, przeprowadzając także młodych ochotników, którym trudno było przemknąć się samym wśród ruskich »strzelców«. W dniu 21 listopada, więc na dobę tylko przed odzyskaniem Lwowa, wyszła w misji kurjerskiej z domu i idąc ulicą Fredry padła ugodzona kulą wrażą. Męczyła się okropnie dzień cały, osładzając swe cierpienia myślą o wygranej. Prawie ostatnie jej wyszeplane pogodne słowa były: »Poznań, Warszawa, Kraków, — cała ojczyzna«.

Tak przed czasem zgasło dziewczątko bohaterskie i czuwa teraz nad Lwowem ze wzgórza jego Obrońców.

Przytaczamy wierszyk ku jej czci napisany:



Felicia Sulimirska.

PAMIĘCI FELICJI SULIMIRSKIEJ.

W słoneczną jaśń, w wiosenną baśń,
Wyrastał biały kwiał,
W szum leśnych ech, dziewczęcia śmiech,
Wzywał na bój świat.
Wierzyła w cud, u szczęścia wrót
Zrywając wiosny bzy —
Bo w szczęścia ślad niósł ją los-płak,
Ukrywszy skrzydła lzy.
Aż przyszła noc. Najeźdźców moc
Zalała polski Lwów.
W obronie praw życie swe sław,
Ideę spełni swych snów.
Więc poszła w łon. Zbójcecka dłoń
Zerwała życia nić.
Suknie na ślub włożyła w grób,
Na wieki poszła śnić...

Marja Bohdanówna.

Pamiętnego dnia 22 listopada biegła pisząca te słowa do Komitetu Polek (przy placu Akademickim 1). Na dole schodów, gdzie dołąd często Rusini śledzili, kto wchodzi lub wychodzi z kamienicy, spotkała bardzo śpieszącego się oficera z miną, jak u wszystkich, rozradowaną.

— Czy pani do Komitetu idzie? — zapytał nieznajomy.

— Tak — odpowiedziałam.

— Proszę tam powiedzieć, że potrzebujemy kurjerek, jak najwięcej kurjerek.

— Dobrze, powiem pani Zagórskiej, ale proszę o nazwisko, abym wiedziała, kogo mam szczęście widzieć pierwszego z polskich oficerów.

— Wit Sulimirski, — przedstawił się uprzejmie, choć nieco późno; podaliśmy sobie ręce, acz dołąd nieznajomi, lecz wspólną radością tak wówczas bliscy.

Wbiegłszy bez tchu na górę, ujrzałam Marię Dulębiankę, Aleksandrę Zagórską, promienne, oglądające obizgłe mocno ręce panny Wandy Tynikówny, które przez tę okropną ostatnią noc wystrzeliły na pozycji na cmentarzu Stryjskim 70 kilka razy, z karabinu zbyt ciężkiego, ale zało nad ranem zdobyły sobie lekki karabinek, odpowiedniejszy dla żołnierza-kobiety. Niezapomniana chwila.

Nie zaciągając się do kurjerek, służbę kurjerską jednak spełniła doskonale w oblężonym Lwowie panna Aniela Jakubowska, córka Anny z Korsaków i dra Saturnina Topór Jakubowskiego, właściciela Drosejkan na Żmudzi (w Poniewieskiem), za udział w 63 r. zesłanego na Sybir, a później długoletniego lekarza kolejowego w Turkiestanie, znalazła się z matką i rodzeństwem w Galicji dla odebrania wychowania w języku polskim. Tu już została, a w czasie oblężenia Lwowa dzielila jego dole i niedole. W 1918 roku, w czasie odciętej chwilowo komunikacji, widząc fatalny stan miasta, postanowiła bądź co bądź przedostać się do Krakowa i bez namysłu wyruszyła w drogę, pieszo, kolując wsiami odległymi od głównego traktu, dojechała wreszcie do stacji w Gródku i tam potrafiła dostać się do pociągu. Przemęczona, zgrzana pochodem po strasznych błotnych drogach, po długich pertraktacjach dopuszczona do pociągu, ulokowana była jak wszyscy pasażerowie w wagonie bardzo

przewiewnym, prawie bez szyb. Droga wlokła się bez końca. Dopiero od Przemyśla pociąg już po stronie zupełnie polskiej posuwał się raźniej. Kraków wydał się podróźnej islnym rajem. Za przybyciem śpieszyła się p. Jakubowska, by, gdzie należy, zdać natychmiast relację, z dwóch powodów: raz dlatego, by pomoc wysyłano ludności zgnębionej jak naj-śpieszniej, po drugie dlatego, że po tej jeździe w wagonie bez okien i uprzedniej męczącej drodze pieszej czuła się chorą. Zapalenie płuc ciężkie nie dało długo naszej podróźniczce na siebie czekać i ledwie nie pozbawiło jej życia.

Nie mogę się wstrzymać, by na tem miejscu, choć to przechodzi nasze ramy, nie wspomnieć, że takiej samej misji, w czasie dla Lwowa najgroźniejszym, tylko w innym dniu, podjął się radca sądowy Jan Hozer, zacny patriota, jeszcze za Austrii więziony wraz z żoną Wiktorją z Gosłkowskich. Jego podróż zakończyła się gorzej niż panny Jakubowskiej, gdyż z przemęczenia dostał również zapalenia płuc, ale już z niego nie podniósł się, oddając w ten sposób życie swe Lwowi.

Po odbiciu Lwowa przeobraziła się pierwotna służba kurjerek, pod kierownictwem p. Zagórskiej, a pod komendą kapłana Sulimirskiego, na Milicję Obywatelską Kobiet Ochotniczek, których liczba ogromnie wzrosła, należały początkowo prawie wyłącznie do sfery inteligentnej i pełniły zrazu służbę bezpieczeństwa w mieście i na jego peryferyjach, poza tem sprawdzały spisy ludności, oddając przy tej akcji znaczne usługi komisji poborowej, gdyż wylawiały mężczyzn, ukrywających się przed służbą wojskową, a będących w wieku poborowym. Już w grudniu objęły na Wysokim Zamku po raz pierwszy posterunki wartownicze przy działach, ludzie służbę obserwacyjną tamże i obsługę jednego działu i jednego karabinu maszynowego. Komendę objęła plutonowa Kamila Janotówna z Poznania, która zyskała przez swą sprawność i dzielność nadzwyczajne uznanie władzy wojskowej¹⁾.

Z kobiet, które na tem miejscu specjalnie nas obchodzą, pełniły służbę przy działach dwie siostry baronówny Brück-

¹⁾ Ochotnicza Legja Kobiet, Szkic historyczny, str. 12.

mann Stanisława i Ewa, pochodzące z rodziny ziemiańskiej, dobrze zapisanej w czasach powstania sycylijskiego w 1863 r. Na posterunku zostały przez czas najgorętszy dla Lwowa, przez trzy miesiące, poczem wycofały się z legii.

Pod koniec grudnia 1918 r. Milicja Obywatelska Kobiet wzrosła bardzo liczebnie i przeszła nową fazę przeobrażenia w Legię Ochońniczą Kobiet. Koniec grudnia niezwykle był ciężki, więc nie wahano się, jak zwykle w chwilach grozy, użyć pomocy kobiet nawet w służbie na froncie.

Kobiety z Legii Ochońniczej zdały przy pierwszej sposobności egzamin z odwagi i dzielności. Ołó słowa kapitana Wiła Sulimirskiego: »Krzywecyce dały im właściwy chrzest bojowy. Tu na odebranych Rusinom pozycjach spędziły młode panienki z »O. L. K.« pierwszą noc na placówkach, w najbliższym sąsiedztwie wroga. Noc śnieżna i mroźna, — bez cieplejszych mundurów, bez zaopatrzenia należytego, powołane alarmem, który w młodych piersiach dziewczęcych musiał przecież wywołać drżenie. Ale w ciemność nocną, w mroki kryjące wroga patrzyły śmiało dziewczęce oczy i na dalekiej peryferji miasta były nieustraszone serca kobiety. Gdy zluźowany na pozycjach oddział wracał pod komendą por. Nawareckiego, swego instruktora, do miasta, artylerja ruska zaczęła go obsypywać salwami pocisków. Nieustraszony ten zastęp przeszedł spokojnie, bez strat, unosząc w duszy niezafarte, radosne wspomnienia pierwszej służby na froncie.

Drugi chrzest bojowy był w Zboiskach, gdzie przez cztery tygodnie ochotniczki z Legii stały wśród ustawicznej strzelaniny. W oddziale szturmowym pod dowództwem podpor. Piguleczki i Melleri było już 70 kobiet, które w dniach 13, 20 i 27 grudnia 1918 r. odparły 3 zaciekle ataki. Wśród ofiar była 20-letnia, bohaterskiej odwagi, Zofja Kościeszka Wrońska. Szła w pierwszym szeregu kompanji szturmowej, cała w zapamiętaniu dla sprawy, której służyła. Ciężko ranną opadli hajdamacy, lecz żołnierze nasi wydarli z ich rąk nawpół żywą towarzyszkę broni i unieśli z pola bitwy. Po kilku dniach zmarła nasza bohaterka.

Na Persenkówce po 9 dniach ustawicznego ognia padły cztery żołnierze-kobiety.

W Lipnikach (kolo wsi Drusyl) zajmowały samodzielnie dany odcinek frontu i szły dwa razy na bagnety. Poległo tam 5 kobiet.

Na odcinku w Kulparkowie podziwiał je generał Barthélemy, co odbiło się później w artykule czasopisma francuskiego »Illustration«.

Ochońnicza Legja Kobiet podlegała personalnie i administracyjnie kapitanowi Aleksandrze Zagórskiej, która w marcu 1919 r. przejęła całą komendę. Do czerwca tegoż roku dowództwo nad nią było w ręku kapitana Sulimirskiego, następnie w ręku Dowódcy Miasta i Placu.

Służba ochotniczek, w mieście przeważnie wartownicza, była w tych czasach niezmiernie ciężka. W zacytowanym szkicu historycznym czytamy na stronie 15 co następuje: »Bez ciepłego ubrania, w dziurawym obuwiu stały niekiedy po parę dni i nocy, bez zmiany, a choć niejednej wypadł karabin ze skosnialej dłoni, żadna nie zesła z zajmowanej pozycji... W chwilach niebezpieczeństwa szły na front, znajdujący się tuż za miasłem, a w najokropniejszym, piekielnym momencie wybuchu amunicji na dworcu Głównym postrzeliły, ratując własność Państwa, wynosić beczki z benzyną z płonących magazynów. Przemilczec tu nie można bohaterki panny Józefy Balzerówny, która otrzymała specjalne uznanie pochwalne ze Stacji Zbornej W. P. od porucznika Lipskiego: »Za samorzućne, pełne poświęcenia i wytrwałości, wśród gradu pękających pocisków i płonącego ognia oddanie się akcji ratunkowej dla dobra Rzeczypospolitej«.

Czyż za takie męstwo nie otrzymałby dawniej żołnierz godności szlacheckiego i pięknego herbu na błyszczącej larczy! —

W rzędzie takich entuzjastek-ochotniczek posławić musimy 15-letnie dziewczątko, dziecko prawie, Halinkę Dołęgę Grabską z Plockiego. Pochodziła ze sfer obywatelskich, wychowana starannie na pensji w Plocku. Gdy doszły ją wieści o niedoli Lwowa, zapaliło się w niej jedno pragnienie: biec na jego ratunek. Nie mówiąc, co zamierza, odkładała czas dłuższy bulki ze śniadania, aby mieć o czem zajechać do Lwowa. Gdy już myślała, że ich nazbierała dostateczną ilość, mała nasza bohaterka opuściła pensję i przy-

była do Lwowa, gdzie natychmiast zgłosiła się w Komendzie Legii O. K. Nie chciano jej naturalnie z powodu młodego wieku przyjąć, lecz gdy błagała, zapewniając, że rodzice przysłał swoje zezwolenie, zatrzymano małą 15-letnią wojowniczkę tymczasowo i zawiadomiono rodziców obywateli ziemskich w Płockiem, nie używając jej do żadnej



Halina Dołęga Grabska.

śłużby. Gdy pewnego dnia jednak przyszedł transport darów amerykańskich dla Legji, wyprosiła się bodaj do pilnowania koni w czasie, gdy dorosłe legionistki będą zajęte wyładowywaniem wagonu. Po przybyciu legionistek na dworzec, Ukraińcy przypuścili atak pociskami. Co żyło, chowało się w bezpieczne miejsce. Biegący oficerowie wołali do Halinki, stojącej na warcie, by się skryła, lecz nie posłuchała, wołając ku nim: »Jestem żołnierzem, rozkaz otrzymałam, z po-

sterunku nie zejść». Za chwilę nie zostało z koni i dzielnej Halinki, tylko krwawe strzępy. Legionistki złożyły ją w białą trumienkę, przysłroili pierwiosnkami i odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku. Za trumną idący stary zahartowany generał płakał serdecznie... Została po niej jedna cenna pamiątka: nie wysłana jeszcze kartka do koleżanki. Pisała w niej: »Czy wyobrażasz sobie, jak jestem szczęśliwą — jestem z tymi, co bronią Ojczyznę«. (Notałkę tę zawdzięczam pani Wandzie Mazanowskiej).

Podobnie, jak mała Halinka Grabska, pełniły służbę wartowniczą wszystkie legionistki, na różnych posterunkach przy magazynach, na dworcach kolejowych! Mnóstwo dowodów ich wierniej służby w rozkazach i raportach dowódców, a wszystkie stwierdzają, że ochotniczki nasze były nieocenionymi stróżami dobra Rzeczypospolitej, nieraz wprost niezastąpionymi. Gdy nieprzyjaciół ostrzeliwiał je podczas pełnienia służby, nie schodziły ze swych posterunków, przeciwnie nieraz przyprowadzały pod karabinem opryszków, chcących rabować dobro publiczne. Ten właśnie fakt, jak i wyciąganie z ukrycia kryjących się przed służbą wojskową poborowych, były pierwszym powodem niechęci do legionistek, które pewne żywioły starały się ośmieszyć za wszelką cenę władzy, gdy bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło a czynność ich mogła być z łatwością zastąpiona przez żołnierza męskiego.

Z pośród tych szarych ochotniczek, pełniących tak niemiłą i — powiedzmy — tak niewdzięczną służbę, jak wartownicza, odchodziły jednostki bardziej indywidualne, łaknące czynu bardziej bezpośrednio z akcją bojową związanej. Między innymi przeszły do służby polowej do 5 pułku artylerji polowej: Halina Kowalska, Halina Wasilewska i Wiktoria Stokowska. Nie jestem pewna, czy wymienione kobiety należały do rodzin ziemiańskich, ale zdaje się, że tak było, choćby w dawno minionych czasach. W każdym razie, opierając się na kartkach służbowych tych dzielnych wojowniczek, z dumą w imieniu kobiet polskich za szkicem historycznym legji powłórzę, »że do oficerskiej patroli łącznikowej przydzielone podczas ofensywy 20. IV. 1919, odznaczyli się szczególnie szeregowcy O. L. K. Halina Kowalska, H. Wasilewska, Wiktoria Stokowska. Szły przeważnie

w pierwszej linii piechoty podczas ataku na las Oświce, Gaj i Zabrzę, a kładąc połączenie telefoniczne dla artylerji, czyto roznosząc meldunki sprawiły, że dowództwo artylerji w każdym momencie uświadomione było o posłęgach i przebiegu akcji nieprzyjacielskiej, przeto upraszam O. L. K. do podania nazwanych do Dowództwa W. P., celem uzyskania pisemnej pochwały».

Ponadto H. Kowalska otrzymała zaświadczenie: »V Pułk Artylerji p. Bateria, 3. Pozycja, 5/VI. 1919 r. Dowództwo poświadczają, że plut. H. Kowalska pełniła przy Baterji od dnia 12/II na froncie południowym (Persenkówce) służbę telefoniczną na punkcie obserwacyjnym w placówkach piechoty i przy baterji oraz obserwatora artylerji. We wszystkich wypadkach dała dowody nadzwyczajnej przyłomności umysłu, żelaznego poczucia obowiązku i pogardy niebezpieczeństwa, specjalnie w dniu ofensywy 20/IV na tym odcinku, gdzie przydzielona jako łącznik szturmującej piechoty do artylerji, oddała sprawie nieocenione usługi. Te zalety połączone z wrodzoną powagą i głębokim patriotyzmem sprawiły, że plutonowa Kowalska była w baterji znakomitym, niezastąpionym żołnierzem. — Dowództwo Baterji«.

Podobne zaświadczenia otrzymały: Wasilewska i Stokowska. Za taką dzielność w dawnych wiekach otrzymywali mężczyźni szlachectwo i ziemie, więc gdyby wymienione bohaterki nie należały z urodzenia do rodzin ziemiańskich, to czynem swym broniącym świętej ziemi ojczyzny same — siłą faktu i czynu stawiałyby się w rzędzie zasłużonych ziemianek...

Gdy niebezpieczeństwo trochę się zmniejszyło, skazano legję ze »względów na naturę kobiety«, kosztu umundowania i t. d. na wymarcie. Dopiero w czasie nawały bolszewickiej powstała legja w Wilnie z inicjatywy pań: Hanny Orleńskiej-Paszkiewicz, Klary Zatorskiej i Ludwiki Markowskiej. Praca legji w Wilnie była ciężka, we Lwowie coraz trudniejsza, tak, że komendantka Aleksandra Zagórska wniosła do Komendy Miasta i Placu prośbę o pozwolenie rozwiązania legji w końcu roku 1919, na co długo nie było odpowiedzi. Dowództwo O. L. K. przeniesione zostaje w począłkach kwietnia 1920 r. do Warszawy, gdzie legja uległa ponownie

nowemu ukonstytuowaniu. Podczas najazdu Bolszewji oddziały legji otrzymały posterunki przy moście wraz z oddziałem karabinów i innemi. Po oddaleniu niebezpieczeństwa oddziały częściowo demobilizowano. W Warszawie 1. III. 1921 zostały ściągnięte z Pragi osłabnie posterunki warlownicze Ochotniczej Legji Kobiel.

Na zakończenie warto powtórzyć za szkicem historycznym legji kilka zdań: »Kiedy w Warszawie, w dniach sierpniowych 1920, oddział O. L. K. przed udaniem się na front szedł do katedry, sypały się nań kwiały, padały okrzyki, słarszki oczy pełne łez zatrzymywały na niezwykle zasłępie żołnierskim i błogosławiły dziewczętom, idącym na bój w obronie Ojczyzny i wolności... Podobnie było i we Lwowie dopóły, dopóki nieprzyjaciół stał łuz groźny i srogi... »A gdy było spokojniej, nie szczędzono łymże legionistkom słów najgrubszych obelg. Czarna to niewdzięczność, która jest prawie tradycyjnie słosowana przez mężczyzn wobec kobiet naszych. Tak, a nie inaczej bywało w r. 1863, proszono niewiasty o pomoc, Rząd Narodowy wydawał w łym względzie polecenia i rozkazy, a po upadku powstańca niejedną pamiętnikarza czarne nołował kreski, mówiąc o kobietach żołnierzach czy kurjerkach...«

II.

SANITARJUSZKI.

Prócz kobiet, walczących z bronią w ręku i kurjerek, cały ich legion pracował w służbie sanitarnej. I na łej drodze padały ofiarą swego poświęcenia, bądź nabawiwszy się grasującego tyfusu, bądź łez na placówkach od kuli wrażej. Tym właśnie dajemy pierwszeństwo, jak przysłało na czasy wojenne.

Janina Prus Niewiadomska, córka Macieja, który straciwszy w dawnych przewrótach krajowych majątek, zajmował skromne stanowisko geometry. Małka Janiny Radwanówna z domu, bardzo wątłego zdrowia, zmarła przed samą wojną światową. Jeszcze w lipcu 1914 r. zapisała się młodziulka Janinka wraz z bratem we Lwowie do formującego się wówczas Strzelca i została przydzielona na kurs sanitarny.

Bardzo przydało się to w czasie wielkiej wojny, która wybuchła właśnie w lecie 1914 r. Jako sanitariuszka, pod imieniem siostry Wandy, pełniła odłąd służbę na frontach Drugiej Brygady Legionów, a po ich rozwiązaniu w szpitalu legjonowym w Lublinie, w Kowlu, a wreszcie w szpitalu Ujazdow-



Janina Prus Niewiadomska.

skim w Warszawie. Wtedy Lwów przechodził mękę, łącząc niespodzianą walkę z wrogiem, wspieranym przez demobilizowane oddziały austriackie, a męczył się bez wody, żołnierza, broni, pogrążony nadto podczas mroków nocnych w egipskie ciemności. Dowiedziawszy się o tym siostra Wanda, niespokojna o losy drogiego miasta i brata, który tam pełnił służbę frontową, zapagnęła dostać się do oblę-

żonego Lwowa. Niebawem nadarzyła się sposobność, gdy szpital Ujazdowski wysyłał po rannych pociąg sanitarny. Pozwolono wtedy pannie Niewiadomskiej przylączyć się do tego pociągu, pod warunkiem natychmiastowego powrotu. Siostra Wanda pragnęła do rozkazu zasłosować się służbiście, lecz przybywszy na miejsce i zorientowawszy się w ciężkiej sytuacji Lwowa, zgłosiła się, nawet przed zobaczeniem się z bratem, zaraz do służby jako ocholniczka w szpitalu na Technice. Śląd wysłana została 2 lub 3 stycznia 1919 roku do najbardziej jeszcze zagrożonego odcinka na Persenkówce. Odcinek ten usiłowali Ukraińcy odebrać za wszelką cenę i dlatego loczyły się na nim zajadłe boje. Los zrządził, że na tym właśnie odcinku walczył brat jej, Stefan. Rodzeństwo spotkało się przypadkiem koło kościoła św. Elżbiety. Wanda, idąca do służby, brat, wracający na jednodniowy odpoczynek do miasta. Jakby w przeczuciu bliskiej katastrofy, prosi siostrę, by wróciła wedle danego jej rozkazu do Warszawy. Na to odpowiedziała bez wahania, że »dopiero teraz czuje się szczęśliwą, gdyż znalazła cel swój i tego szanica polskości, na którym i on, jej brat się znajduje, opuścić nie może«. Obiecała jednakże wrócić po służbie do brata na gawędkę. Minął jednak dzień cały, a nie wracała. Zrozpaczony brat zaczął poszukiwania, zrazu daremne, dopiero trzeciego dnia znaleziono zwłoki jej w stodółce na Persenkówce, tuż obok pobojuwiska. Żołnierz, któremu dwa dni temu uratowała życie, opowiedział, co widział na własne oczy i czego od tej dzielnej sanitariuszki doświadczył. »Dnia 6 stycznia walki były zacięte, nieszczęśliwy odcinek przechodził z rąk do rąk. Komendant oddziału miał do dyspozycji samego młodego żołnierza, który był po raz pierwszy w boju. Siły przeciwnika, strzelców siczowych, były wyćwiczone i przeważające liczebnie. Nasz żołnierz młody zaczął się cofać i dopiero za przykładem siostry Wandy, która choć nie żołnierz, a tylko sanitariuszka, szła pełna brawury w pierwszych szeregach, zachęcając do kontrataku, odparło nieprzyjaciela. Komendant odcinka twierdził, że doład tak dzielnej niewiasty nie spotkał i że tej Polce-bohaterce zawdzięczać należy w owej chwili utrzymanie Persenkówki w naszych rękach«. A dodać trzeba, że Persenkówka jako stacja kolejowa, łącząca odcinek z po-

ludniową częścią miasta, była nader ważnym punktem strategicznym. Patrol sanitarny, na którego czele stała Wanda, umieszczony był w dworku, w którym znajdowało się dowództwo odcinka, a z którego po skończonej walce, pod wieczór, zostały tylko zgłiszczyska. Tuż obok ciągnęły się rowy strzeleckie, a naprzeciw stał domek, w którym Ukraińcy mieli ukryty karabin maszynowy. Gdy wieczorem nasi zaczęli zajmować pierwsze linie okopów, jeden z żołnierzy padł ranny kulą z tego karabinu, w miejscu na wzgórzu pod krzyżem, pod którym 28 grudnia padł ranny Mazanowski. Widząc padającego żołnierza, przybiegła siostra Wanda i klęcząc opatrywała szyję, krwią obficie broczącą. Nałechtmiastowa ta pomoc uratowała życie rannemu, a spowodowała śmierć Wandy, która stanowiła dobry cel dla wroga, nie szanującego zgoła, wedle przepisów i układów międzynarodowych, służby sanitarnej. Po przyświeceniu do przytomności żołnierz przyczółował się do swoich linii, nie umiał jednak powiedzieć, jakie były dalsze losy jego wybawicieli. Zostało więc lajemnicą, kto i kiedy, żywą czy umartą przeniósł do słodółki. Cały płaszcz miała podziurawiony kulami, a ranę ciężką w udo koło pachwiny, co spowodowało upływ krwi i śmierć bohaterskiego dziewczęcia. Z wielkim żalem przyjął cały odcinek wiadomość o jej zgonie. Dnia 10. I. 1919 r. odbył się jej pogrzeb z honorami wojskowymi, jak gdyby była żołnierzem. Nikt nie żegnał jej szumnymi słowami, ale pożegnała salwa karabinowa, której wólowały strzaly w pobliżu łączącej się bitwy. Dzienniki nasze poświęciły jej słowa wspomnienia, między temi Kurjer Warszawski pisał, że poległa Janina »Wanda«. Niewiadomska zawsze marzyła o służbie na linii, warunki jednak na to nie pozwalały, dopiero obrona Lwowa nasunęła jej taką sposobność. Świadczy o tem najlepiej jej własne słowa: »Tam, gdzie kule świszczą, tam, gdzie bagnetły błyszczą, ciągnęło mnie zawsze, więc tutaj zostaję«.

Na Persenkówce, w miejscu, w którym poległa Janina Niewiadomska, a wcześniej krewny jej, por. Józef Mazanowski, opodał zaś tylu innych jak oni dzielnych młodzieńców, obrońców naszych, stanął piękny pomnik ku wiecznej pamięłce spełnionego wobec kraju obowiązku. (Na podstawie artykułu dra Cz. Niewiadomskiego, pod tytułem: »Dzieci Bohaterzy«.)

Malwina z Bogdanowiczów Pieńczykowska, urodzona w Czechowie, obywatelka wiejska, nie szukała bezpiecznego schronienia dla siebie i ukochanych córek za granicami kraju, ale od początku wojny światowej w nim została i dając najlepszy przykład ze siebie, pociągnęła do ofiarnej, samarytańskiej służby również swoje dwie córki.



Malwina z Bogdanowiczów Pieńczykowska.

Panie te pracowały w szpitalu wojskowym we Lwowie, a gdy wstąpiła Polska i zażądała rąk chętnych do pracy, a serc do gojenia ran duszy, już nie w przenośni, ale rzeczywistych, zajęła pani Pieńczykowska stanowisko w pociągu sanitarnym na froncie białoruskim. Nie usuwała się od pielęgnowania chorych na tyfus plamisty, porwana tą straszną epidemią, zmarła w szpitalu w Lublinie, w pięknym miesiącu maju 22/V 1919 r.

Marja Pieńczykowska, nieodrodna córka swej matki i miłośnica opiekunka tych naszych »zadumionych«, była wychowanką Sacré-Coeur we Lwowie, w ośm dni po matce zmarła, uległszy tej samej okrutnej chorobie, w ostatnim dniu miesiąca maja, niosąc Bogu i krajowi w ofierze młode swe życie.



Marja Pieńczykowska.

Stefania z Kręczyńskich Gubayowa, również była cielewka SS. Sacré-Coeur we Lwowie, poszła za wzorem swych dziadów, którzy, służąc dla kraju stawiali na pierwszym miejscu. Niedarmo bowiem była wnuczką żołnierza z r. 1831, dra Bogusława Longchamps de Brier, nie mogła więc w czasach grozy spadłej na kraj nasz co dopiero podniesiony do godności państwa, zostać bezczynnym widzem. Rok 1918 zastał ją już matką trojga małych dzieci, opiekunką matki staruszki, żoną sędziego w Tarnopolu. Stosunki naszych jeńców internowanych czy więzionych przez braci Rusinów były wprost nieludzkie. Ciasnola, brud, strawa godna czworonogiego bydła, warunki higieniczne wprost zbrodnicze, wywołały straszny pomór wśród naszych jeńców. Jak mogły jednak serca niewiast uchylić się, ratując siebie, od noszenia im do więzienia pożywienia, od pielęgnowania chorych — o ile to wogóle było dozwolone — nieszczęśliwych chorych, dotkniętych już palcem śmierci? Więc choć uwielbiała matkę swą i dzieci, choć serdecznie kochała — co dziś niemożliwe — swego męża, nie mogła jednak zostawić tych nieszczęśliwych bez pomocy. Wąlla z natury, gdy raz wpadła w chorobę tyfusu, która przy pielęgnowaniu dotkniętych nią była prawie nieunikniona, zmarła 2/III 1919 r. wierna w czyni niewyrażanym hasłom służenia bliźnim.

Kamila Kwapińska, urodzona w Krośnieńskim z zie-

miańskiej rodziny. Ojciec jej oprócz administrowania swym majątkiem, był dyrektorem przedstawicielstwa naftowego. Z wybuchem wojny, widząc na co się zanosi, przeszła zaraz na początku 1914 r. kurs sanitarny w Sokole Macierzy we Lwowie, a już we wrześniu tegoż roku pracowała w pawi-



Stefania z Kręczyńskich Gubayowa.

lonie II profesora Hermana aż do lutego 1918 roku, poczem cztery miesiące ciężkiej służby spędziła w szpitalu dla zakaźnych. W listopadzie 1918 r. pracowała u pani Opieńskiej przy robieniu opatrunków. Wtedy popadła w niewolę ruską, wydostając się jednak z niej szczęśliwie i zgłasza od razu do pracy w szpitalu na Technice, gdzie przebywa całą zimę

w gorączkowym ruchu do marca 1919 r. Praca ta, której oddawała się gorąco, nadwładziła jej zdrowie na całe lata.

Jedna z sióstr miłosiernych we Lwowie, bez komuś zakonnego, zało z woalem błękitnym, jedna z sióstr o charakterze czysto polskim, świetna organizatorka sanitariuszek, to Pelagja hrabianka Skarbkówna. Klóź nie pamięła



Pelagja hr. Skarbkówna w szpitalu św. Teresy.

tej szlachetnej córy karmazynów z czasów, gdy na początku wojny światowej organizowała na Technice lwowskiej siostry błękitne i szpital w klasztorze św. Teresy. W pierwszym popłochu wojennym przy cofaniu się armii austriackiej panowały na Technice stosunki wprost fatalne, chorzy bez dozoru czolgali się po korytarzach, aby zdobyć dla siebie potrzebne

leki czy jadlo. Z przyściem tam hr. Skarbkówny i siostr błękitnych zapanował ład i porządek, a każdy cierpiący miał zapewnioną sumienną opiekę.

Do pierwszych sióstr należały: hr. Dębickie, panna Hiejiska, hr. Drohojowska, Marja Opieńska i wiele innych pań.

Szpital u św. Teresy urządziła hr. Pelagja w kilku salach swoim własnym kosztem już od wżeśnia 1914 r. i prowadziła go przez rok cały. Tam przechowywały siostry błękitne różnych uciekinierów, kryjących się przed niewolą rosyjską, i nieraz przyszło im fabrykować dokumenta, by za nimi mogli się wydostać ich pupile na wolność.

W szpitalu św. Teresy zrobiła przewodnicząca SS. Błękitnych dziwną znajomość, jakiej dawniej na salonach wielkiego świata na pewno nigdy nie widziała zbliżka. Były to trzy sierotki wojenne, które los tragiczny przygnał do wrót szpitala i związał blisko z hr. Skarbkówną.

Jedną z sierót był chłopczyk, którego rosyjska sanitariuszka, Czarkowskaja miała znaleźć po cofnięciu się Austriaków na pobojuwisku między Janowem a Jaworowem; przywiązany miał być chustą na plecach kobiety, która ugodzona pociskiem padła ustami do ziemi. Zgłodniały malec ssal kark biednej, zabitej małki, usta miał pełne robactwa. Panna Skarbkówna zaopiekowała się nim serdecznie. Po jej śmierci malec w lat kilka ukończył pierwszą klasę Gimnazjum w Chyrowie, oddany został do Zakładu Wychowawczego fundacji Skarbkowskiej w Drohowyżu. Nazywano go Leszkiem, później Zygmuntem Wańkiewiczem.

Drugą sierotką panny Pelagji — to dziewczynka, nazwana Danusią; prawdziwe jej imię Magdalena Szarachan, z Felsztyna rodem. Małkę jej zabił szrapnel, poczem osierociłe dziecko przysłał probosz gr. kał., ks. poseł Wałulewicz. Po roku 1918 oddała ją dostojna opiekunka do Drohowyża, a dopiero gdy wrócił ojciec malej z Ameryki i zgłosił się po dziecko, oddana mu została mała sierotka.

Znalazła się i trzecia opuszczona sierota, którą umierająca matka sama powierzyła miłosiernej opiekunce; była to również Danusia, właściwie Józefa Bybel. W obawie, by dziecko nie dostało się w opiekę wuja, nalogowego pijaka, matka

na łożu śmierci oddała je hr. Skarbkównie. Po zgonie swej dobrodziejki przyjęta została przez pp. Gólkowskich z Sambora i wtedy zmieniono jej nazwę na Danułę Dyboską.

Piękny obraz działalności hr. Delagii z czasów prowadzenia szpitala u św. Teresy znajdujemy w niedrukowanym opisie święconego w dniu 3 kwietnia 1915 r., jaki skreśliła jedna z współpracowniczek w szpitalu św. Teresy, panna Helena Gamiska.



Delagia hr. Skarbkówna z sierotkami.

»W precudny dzień — czytamy tam — przybył do klasztoru ks. arcybiskup Józef Bilczewski, ukochany przez wszystkich arcypasierz. Witła go u furty panna Skarbkówna i wprowadziła do sali, gdzie było przygotowane święcone. Pani ta (hr. Sk.) nie pozwalała niczym łzom płynąć, a usła już ku płaczowi skłonne, do uśmiechu przymusza, bo wie, że smutkiem tylko żal drugich powiększa. Nie figuruje w szpitalu pro forma, oś tak tylko na papierze. Niedarmo rzuciła salony, muzykę, którą tak ukochała, i pamiętna na przykład Boskiego Mistrza, poszła z sercem chętnem do pracy dla tych, którzy teraz najbiedniejsi — dla rannych

inwalidów. To też cisną się do niej chorzy, łwarze bolem wykrzywione, rozjaśniają się na jej widok, ręce całują jak matce. I dba o te biedne swe dzieci: zna narodowość każdego, wie, czy ma żonę, dzieci, jaka jego choroba i jaki jej stan, czego mu potrzeba. Gdy bieży przez salę w prostym jasno niebieskim stroju siostry błękitnej, to spojrzenia biedaków gonią za nią tęskliwie, a modlitwy dziękczynne idą przed tron Boży za tą miłosierną Opiekunką. J. E. ks. arcybiskup Bilczewski dokonuje w przeddzień Wielkiej Nocy święcenia darów Bożych dla inwalidów. Pieśń jakaś mocna a święta płynie po cichym

klasztorze, skarżąc się i żebrząc zmiłowania Najwyższego... To inwalidzi przywiekli się tu o kulach i oparci o ścianę, wilają wysłannika i dosłojnika Kościoła. Po dokonaniem poświęceniu zebrani idą za ks. arcybiskupem do sal, gdzie leżą nieszczęśliwi kalecy. Niektórym z przybyłych za trudno pałrzeć na cierpienia biedaków, więc zahzymują się u drzwi. Hrabianka Skarbkówna oprowadza ks. Bilczewskiego od łóżka do łóżka rannego mówiąc: To Polak, to Węgier, ten Tyrolczyk, a ten Rumun, a ksiądz przemawia żarliwie do każdego.

Jest tu i dwoje dzieci, znalezionych na pozycjach. Chłopczyk pałrzy na wszystkich wesoło, gdyż nie zna własnej tragedji, która tak wczesnie go dołknęła, że jej nawet ocenić nie umie. Znalazł zresztą malę i dosłojną opiekunkę a cały personal mieni się jego rodziną...

Podczas herbalki, bez której gościnna gospodyni nie wypuściła nikogo za furę, otrzymała hr. Skarbkówna dar od chorych i personalu szpitalnego; w dębowych ramach rozłożyl skrzydła nasz orzeł biały, taki nam drogi, a nad nim lśni czerwony krzyż, w którego imię rozpoczęła swą pracę błogosławioną, poniżej moc podpisów w trzech językach: polskim, węgierskim i niemieckim, wraz z wyrazami podziękli od inwalidów, jej pupilów. Całość otoczona nie listkami wawrzynu, któremi wieńczono niegdyś skronie przodków tej starej, polskiej rodziny, ale gałązkami dębu, które doskonale charakteryzują siłę i wytrwałość niezmordowanej opieki rannych... Jakże dziwnie dobrze jest w tem smutnem królestwie hrabianki Skarbkówny...

Słowa te pisane gorąco, pod wrażeniem przebytej chwili, są tak wymowne, że bodaj w streszczeniu podajemy je dla wydalniejszego koloru całego obrazu, na którym występuje tak słodko, a wyraźnie posłać przodownicy SS. błękitnych.

Przez cały ciąg wielkiej wojny światowej nie ustawała hr. Skarbkówna w pracy swej samarytańskiej, prowadząc szpitale gdzie było potrzeba: we Lwowie, Krynicy, Wiedniu, dbając nietylko o ich wewnętrzny ład, dokładność, doskonały porządek, ale i o należytą aprowizację. W tym celu nie wahała się, mimo chwiejącego się już zdrowia, odbyć dwukrotnej, uciążliwej podróży do Odesy i Kijowa, byle szpita-

lowi zapewnić aprowizację, która mocno szwankowała. Pierwszą podróż odbyła z Marią Opieńską w maju 1917 r., gdy po cofnięciu się Rosjan wszystkiego szpitalom brakowało. Drugi raz wyjechały obie tegoż roku w czerwcu na zlecenie komendanta szpitala w Nowym Sączu, gdzie hr. Pelagja z kilku siostrami chwilowo pracowała. Tym razem na ulicach Odesy było gorąco i gęsto słychać było strzelaninę. Pani Opieńska z częścią nabytych skarbów wyjechać musiała wcześniej, hr. Skarbkówna, już wtedy bardzo niezdrowa, zo-



Pelagja hr. Skarbkówna ze szpitalem uzdrowieńców w Krynicy.

stała parę dni dłużej, poczem wróciła z wagonem, pełnym koniecznych dla szpitala rzeczy. Obie panie zaopatrzone były w wojskowe bilety jazdy, tak zwane »Offene Ordre« i miały do dyspozycji żołnierza, niesłaby Niemca, który w tej drodze więcej zawadzał, niż był pomocny.

Z czasu, w którym Siostry Błękitne prowadziły szpital w Krynicy, przechował się wierszyk pani Rychler-Janowskiej, z którego zacytujemy dwie zwrotki; pierwsza z nich pisana z humorem pełnym sympatji, odnosi się do pani Opieńskiej, druga do generała, to jest do hr. Pelagji, zajmującej z siostrami willę »Siedlisko«:

shima znówu (Opieńska) w menaży pracuje od rana,
Biała, czersłwa, wesola, rumiana,
Ma coś w sobie z królowej; cera z płatków róży,
Włosy z słońca, bławaly w oczach, a nosk nie duży,
Obraz zdrowia i szczęścia, przytem energiczna:
Słuchać jej musi siostr gromada liczna,
Gdy każe iść na lewo, każda idzie w prawo,
Kiedy w prawo zarządzi, każda gdzie chce idzie.

Dowsłaje chaos, zamęł: by zapobiec biedzie
Sam generał (Skarbkówna) natenczas występuje srogo
I kary zapowiada, straszy, ale nigdy srogo
Żołnierzy swych nie karze, tak tylko nawiasem
Srogą posłać przybiera i polaje czasem.
Grunt ma zły, a serce ludzkie i anielskie,
Ślad też nieraz widziałam, jak płonące oczy
Wdał wpalzone szukały niebieskich przezroczy,
Jakby w nich dwojga sierot przyszłość widzieć chciała
Tych, którym małą nazwać się kazala.
Ślad do rannej ludzkości, aż pod dachy słychem
Zesła od blasków, holdów i świała przepychu,
By wśród leżących w szpitalnej pościeli
Snuć się jak anioł w błękitach i biel,
Iść ku nim aureoli ołoczona chwala,
Wzmacniana wielkim duchem i siłą wylwala.

Ostatnim etapem szpitalnej pracy był Wiedeń. Tam na Grinzingu, w baraku nr. 42, hr. Pelagja prowadziła szpital wojskowy w roku 1916—17. Załączona fotografia przedstawia kaplicę w baraku, a w niej w ołtarzu obraz nowy, na którym widnieje i Błękitna siostra. Dosłojna palronka szła więc także na obczyznę za polską niedolą. A tymczasem jej własne zdrowie chwiać się zaczynało nie na żarty. Przyglądanie się zbliżającym cierpieniom ludzkim, podniesionym przez wojnę do lysiącznej polegi, wnikanie głębokie nie tylko w ból fizyczny, ale i duchowy swych pacjentów i pupiłków, a także nurlująca organizm choroba, spowodowały wielki upadek sił hr. Skarbkówny. Z konieczności porzuca pracę i swe Siostry Błękitne, wyjeżdża na wieś, odpoczywa i leczy się. Niedowierza jednak obietnicom lekarzy. Mimo to nie marłwi się tylko sobą: zazdrości społecznym swym współpracownikom jedynie dlatego, że dla dobra ogółu mogą coś czynić i działać. Ostatni list do Marii Opieńskiej kończy słowami: »Wy

pracujecie, a ja co?» Co do stanu swego zdrowia nie myślała się, gdyż w parę miesięcy później zmarła w Poznańskim Pelagja hr. Skarbkówna, wnuka fundatora wielkopomnych instytucji publicznego dobra we Lwowie i jego okolicach, siostra niezapomnianego obrońcy Lwowa, Aleksandra hr. Skarbka i Siostra błękitna.

Helena Joanna Ślepowron Skibniewska¹⁾, urodziła się na Wołyniu, w Popowcach, dnia 21/VI 1890 r. (pow. starokonstantynowski).



Obraz w kaplicy na Grinzingu.

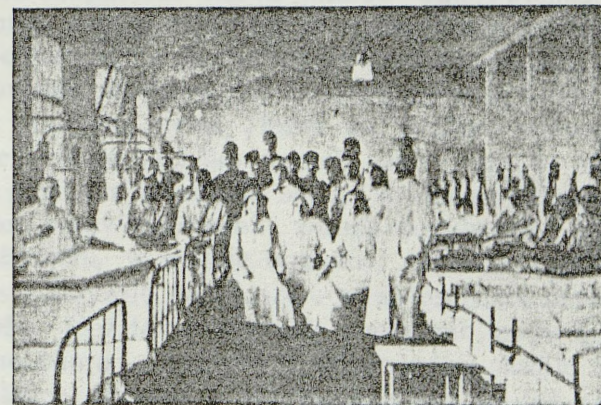
Ojciec jej, Bogumil Skibniewski, doktor medycyny, zniewolony zbiegiem okoliczności osiadł w majątku rodzinnym w Popowcach, gdzie wzorowo prowadził gospodarstwo. Medycyny jednak nie wyrzekł się, ale całą swą wiedzę oddaje na wyłączny prawie użytek najbliższego otoczenia, włościan w Popowcach i okolicy. Leczy on wszystkich bezpłatnie, dając prócz porady lekarstwa, a nie rzadko środki odżywcze i lecznicze. Oddany całemu sercem obywatelskiej i społecznej pracy, nie szczędzi sił swych, śpiesząc każdemu z pomocą moralną i materialną. W humanitarnym jego trudzie sekunduje mu całą duszą żona, Marja z Sworz-Trzebińskich. — Gniazdo ich rodzinne, w którym gorąco żyją tradycje powstaniowe, pełne cnót obywatelskich, promienieje wokół kulturą ducha i umysłu; to też zjednywa sobie ogólnie najwyższe uznanie i miłość wśród współobywateli.

W takim środowisku wzrosła i wychowała się Halka

¹⁾ Biografię ś. p. H. J. Skibniewskiej skreślił jej brat Aleksander i udzielił listu siostry do matki, zamieszczamy go tutaj jako dokument znaczenia historycznego.

Skibniewska. Dziecinne swe lata spędziła w domu rodzicielskim, skarbiąc zawczasu z rodzinnej tradycji i przykładu rodziców załatki cnót, które w dalszym ciągu jej życia zrobiły z niej kobietę dzielną, hartowną, przepojoną miłością ojczyzny i pragnieniem poniesienia dla niej ofiary.

Okolo 1908 roku wyjechała do Krakowa na kursa im. Baranieckiego; tam właśnie jakby w przypuszczeniu, że losem jej będzie praca nie tylko na zagonie ojczystym, przysposabiała się do praktycznego życia, odbyła szkołę ogrodniczą i praktykę w ogrodach Studium Rolniczego przy Uniwersy-



Barak wojskowy na Grinzingu w Wiedniu.

tecie Jagiellońskim w Krakowie, a prócz tego przeszła kursa sanitarne. Po tem dopiero wraca do domu, a nie umiejąc siedzieć bezczynnie, bierze na siebie część trudu małego, prowadzenia ogrodu i naukę dzieci wiejskich. Zajęciom tym oddaje się z zapalem właściwym jej energicznemu charakterowi, a rzadkie wolne chwile poświęca jeździe konnej, co było jej, jako wielkiej miłośniczki koni, największą przyjemnością.

W pierwszym roku wojny 1914/15 wstępuje jako sanitariuszka do polskiego szpitalu w Płoskirowie na Podolu, założonego przez społeczeństwo polskie. Po tem, gdy tylko zaczęły się na dobre formować wojskowe oddziały polskie na terenie zaboru rosyjskiego, Halka wstępuje do nich jako siostra miłosierdzia i, dzieląc losy tych oddziałów, odbywa

ciężką służbę frontową. Obowiązkowa, zamilowana w swym zawodzie, pełna serca i współczucia dla rannych, odważna, dzielna, a przytem pogodnego usposobienia, zyskuje największe uznanie przełożonych, przywiązanie chorych.

Z czołwą I korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego dostaje się do niewoli bolszewickiej i tu przeżywa straszną tragedię, gdy w jej oczach bolszewicy mordują cały męski personal



Helena Ślepowron Skibniewska, dwukrotnie odznaczona krzyżem walecznych z okuciami.

czołwki. Energją i przyłomnością umysłu udaje się jej wraz z koleżankami swemi wyratować od śmierci chorych i rannych i wydrzeć ich z rąk bolszewików.

Ten tragiczny epizod, po ocaleniu, opisała sama w liście do matki. Został też opisany na tle opowiadań innych na ocznych świadków, a mianowicie ocalonych sióstr z czołwki, przez p. Domańską w broszurce p. t. »Siostra Hanna« (wydawnictwo Św. Wojciecha w Poznaniu) i przez p. Wańkowicza p. t. »Szpital w Tychiniczach« (wydawnictwo Rój).

Po wydostaniu się z niewoli bolszewickiej pełni

Halka dalej służbę sanitarną w pierwszym korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego. Po rozbrojeniu owego korpusu na wiosnę 1918 roku, po krótkim odpoczynku w domu, wyrusza do Kijowa, gdzie nawiązuje kontakt z P. O. W. i jako kurierka tegoż kilkakrotnie jeździ do większych ośrodków rosyjskich (Odesa, Kaukaz), przewożąc rozkazy, papiery, wiadomości; oddaje wielkie usługi tej organizacji, narażając wielokrotnie swe młode życie.

W czasie największego zamętu rewolucyjnego i teroru bolszewickiego przebywa jakiś czas w Odesie i tam wstę-

puje do oddziału gen. Żeligowskiego, z którym wraz przedostaje się przez Rumunię do wschodniej Małopolski latem w r. 1919. Tu dochodzi ją straszna wieść o śmierci matki, którą bolszewicy zamordowali w okrutny sposób w rodzinnym jej domu w Popowcach, z kilku innymi osobami, które tam właśnie szukały ratunku i schronienia.

Dla przyłumienia strasznego bólu i rozpacz Halka Skibniewska tem bardziej ofiarnie oddaje się pracy samarytańskiej, a daje jej ku temu wielką sposobność straszna epidemia tyfusu płamistego, szerząca się w obozie polskim, a przedewszystkiem wśród jeńców bolszewickich, których całe zastępy zagarnęła świeżo armja Żeligowskiego, rozłożona podówczas w Borszczowie i wsiach okolicznych. Niezmordowanie, z zupełnem zapomnieniem o sobie, pracując dniami i nocami, niesie Halka im. pomoc, poświęcając się dla idei, ratuje nie tylko swoich ale i wrogów od śmierci. W tem ciężkiem zmaganiu się ze straszną epidemją, gdy nie ma czasu pomyśleć o sobie, zaraza się tyfusem i jak żołnierz na posterunku, w służbie ojczyzny, oddając nadto wrogom najwyższą krzywdę najwyższem miłosierdziem, umiera 18/VIII 1919 roku. Cóż to za wzniosłe spełnienie obowiązku i jaka cudowna ofiara — umierać w dobrowolnej służbie dla swych śmiertelnych wrogów i prześladowców! To też chowają tę dzielną cichą bohaterkę jak zasłużonego żołnierza z największemi honorami wojskowemi na cmentarzu w Borszczowie. General Żeligowski osobiście bierze udział w uroczystości pogrzebowej.

Niemą jednak na tym pogrzebie najbliższej rodziny. Jakże bo i mogła przybyć? Matka najmilsza w grobie, czterej bracia, których życie może swą ofiarą wyjednała, po kilku latach służby frontowej, — ocaleni, — służą teraz w wojsku polskiem. Długą zrzędu brał Jerzy i słyjeczny Włodzimierz, którzy brali udział w obronie Lwowa, zginęli w listopadzie 1918 roku w czasie oblężenia, leżą na jego cmentarzu »Obrońców«. Siostry, brat najmłodszy i dalsza rodzina rozproszeni po różnych częściach Polski wiodą ciężki żywól łulaczy...

Mogiła Halki Skibniewskiej stoi samotnie lat kilka w Borszczowie, dopiero dnia 8 maja 1927 r. zwłoki jej zostały przewiezione do Lwowa i tam wraz z innymi zasłu-

nemi ojczyźnie bohaterkami pochowane na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Halina Skibniewska za zasługi, położone w wojsku polskim, została dwukrotnie odznaczona »krzyżem walecznych z okuciami« w korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego i w oddziale gen. Żeligowskiego.

List H. Skibniewskiej do malki.

»Rohaczew, 5/III 1918 r.

Mamusiu moja Droga.

Dziś już trzy tygodnie minęło, jak się rozegrała nasza straszna tychińska tragedia. Drżałam na myśl o tem, że Mamusia może się jakichś szczegółów z gazet dowiedzieć, a tu ani depesze, ani listy nie dochodzą. Z Mińska próbowałam telegrafować, ale wątpię bardzo, by tych słów parę doszło do rąk właściwych. A teraz coraz straszniejsze wieści dochodzą o krwawych dniach w Kijowie, wiem, że któryś z braci miał tam być w tym czasie — wprost odwagi nie mam myśleć o tem. Ale teraz posłaram się opisać nasze przejścia krwawe.

Jak Mamusia wie, staliśmy od początku grudnia w miasteczku Tychińcach. Chorych jak zwykle sporo, gdyż osłabnieni czasy mieliśmy ich blisko 100; prócz tego ludność miejscowa była jak zwykle leczona przez naszych lekarzy. Dawalo im się lekarstwa, często nawet lekarze lub siostry chodzili do nich dla udzielenia im pomocy po wsi; o żadnem wynagrodzeniu mowy nie było, chyba o ile ofiarowali jajka, to się je oddawało dla naszych chorych, akcentując wyraźnie, że dla siebie nic nie bierzemy. Obok nas w miasteczku i w sąsiednich wioskach stał drugi pułk Strzelców; wyszedł on, pozostawiając w Tychińcach, jako garnizon, sześciu ludzi z dwoma oficerami, pilnujących jednocześnie folwarku, a raczej zapasów zarekwirowanych dla naszych wojsk.

Dnia 29 stycznia starego stylu pojechały nasze siostry i gospodarz do Rohaczewa i tam dostali usłne zlecenie dla szpitala ewakuowania natychmiast chorych do Bobrujska i jechania tamże z całym szpitalem, zabierając cały magazyn i furaz. Wiadomość tę dostaliśmy dopiero wieczorem; za-

częło się gwałtowne przygotowywanie papierów dla chorych i przysposabianie się do drogi. Była to sprawa nielada, mając wszystkiego 15 finlandek (wozy dwukolowe dla przewożenia chorych), ale dzięki energji doktora Mrocza, zostali ciężko chorzy wysłani rano do Bobrujska, z wyjątkiem dwóch, potrzebujących ciągłej opieki, i 16 na tyle zdrowych, że mieli odbyć podróż z naszą komendą; ozdrowieńcy przez lubyców zostali odesłani do swoich pułków. Kończyliśmy się pakować i konie były zaprzężone, gdy wyszłam z rozkazem doktora naczelnego, by rozdać komendzie pakiety indywidualne. Na podwórzu spotkałam naczelnika transportu naszego, idącego pośpiesznie z żoną i 10 - cioniesięczną córeczką na rękę do nas z wiadomością, że za wsią strzelanina, gdzie — jak się wyrazili — »banda uzbrojonego chłopstwa« napadła naszych uzdrowieńców. Powróciłam do szpitala, gdzie wykończaliśmy pakowanie; dostałam też rozporządzenie, by w jednej skrzyni mieć wszystkie potrzebne do opatrunku rzeczy, by ewentualnie w razie potrzeby zabrać te tylko instrumenty.

Połem obiad przyśpieszony, ale niebardzośmy go jedli, gdyż strzały znacznie się przybliżały; według naszych informacji, nie należało się obawiać »bandy«, gdyż była ona nieliczna, a my mieliśmy 60 karabinów. Doktor kazał rozdawać nam broń i naboje, ale większość naszych ludzi rozperzeliła się na odgłos strzałów. Moje »Lubki« (klacze popowieckie) uniosły bryczkę w pole.

Było zapowiedziane, żeby ze szpitalnego budynku żaden strzał nie padł, lekarze nie brali też broni do ręki, o nas zaś mowy nie było, gdyż nawet w takiej chwili nie możemy mordować.

Byłam na górze, gdy kula przebiła ścianę i, przeleciawszy nad moją głową, ugrzęzła w murze. Nie wiem, co mnie skierowało do chorych (wierzę teraz w przeznaczenie), tam czułam się spokojniejszą, tem bardziej, że oni byli zupełnie jak dzieci, i uważali, że przy nas nic im nie grozi; nikt z nas zresztą nie pojmował całej grozy sytuacji i nie przeczuwał nawet w małej części tego straszego dramatu, jaki się miał za chwil parę rozegrać.

Chorzy byli w małym pokoiku dla ciężko chorych i w znajdującej się obok, niezupełnie jeszcze uprzątniętej salce opa-

frunkowej. Nas siostr było cztery: Wańkowiczówna, Prechilko, Białkowska i ja. Siedziałyśmy przepłoszone z chorymi i słyszałyśmy jakieś hałasy. Irena Prechilko wyszła na korytarz i wróciła z wiadomością, że cała banda poszła na górę. Połem znówu były hałasy, krzyki, strzały, wreszcie Irena wyrzwała znów i powiedziała: »Zachowujcie się spokojnie, idą do nas, już są na galerji«.

Dziwne uczucie ogarnęło nas; tak byliśmy pewne, że żywe nie wyjdziemy, że zupełnie strachu nie odczuwałyśmy, ale to była chwila jedna z gorszych. Wreszcie wpadła gromada ze strasznym Czerkiesem na czele, podobnym do złego psa, z drgającymi ze złości uszami i latającymi oczami. Wchodząc krzyczeli na nas, byśmy wychodziły, bo będą rzucali bomby; na naszą odpowiedź, że o ile naszych chorych leżących nie wyniosą, to zostaniemy, dali nam spokój. Wszystko to weszło uzbrojone w karabiny zwykłe, maszynowe, w rewolwery, mając każdy po parę bomb zawieszonych na sobie, kierując cały ten arsenał na nas i domagając się gwałtownie wydania oficerów. Jeden ciężko chory, mający 40 stopni gorączki, został brutalnie szarpnięty i ledwie nam się udało wyperswadować, że ani on, ani kilku bardziej elegancko ubranych żołnierzy nie są oficerami. Zaczęło się wyciąganie rzeczy chorych i szukanie oficerów, zupełnie jak gdyby byli szpilkami, we wszystkich kątach do tego słopnia, że kazali mi otworzyć małe składowe pod schodami, gdzie trzymałam wałę; ale zobaczywszy, że tam ciemno, woleli sami nie wchodzić i proponowali mi, bym to uczyniła, a przekonawszy się, że tam nikogo nie ma, dali pokój. Powróciłam do chorych, gdzie po chwili przynieśli bolszewicy zemdloną Irenę.

Wyszła ona na podwórze zobaczyć, co się dzieje, i przekonała się, co się z resztą personelu stało, gdyż na wszystkie nasze pytania odpowiadali dziwnie jakoś, że wszyscy żyją, ale zostali poprowadzeni do sztabu bolszewickiego. Zaczęliśmy cucić biedną Irenę i pierwsze jej słowa były: »Naczelnny, naczelnny — wszyscy pomordowani«. Mnie wprost wierzyć się nie chciało, myślałam, że Irena mówi nieprzytomnie; wyszłyśmy na podwórze folwarczne: tam leżeli wszyscy nasi w kałużach krwi, już odarci. Doktor naczelnny Mroczek, gospodarz szpitalny Stiller, apłekarz Nehrebecki, magazynier

Nowakowski, oficer, który był chory i miał już do pulku jechać, dowodzący garnizonem, który zabił przedtem dowódcę bolszewików, marynarza (była to jedyna ofiara z ich strony) i inni. Przypadkiem tylko został zabity przy ostrzeliwaniu kancelarii ordynans jednego z naszych panów, a zresztą wszyscy padli po poddaniu się, wymordowani w okrutny sposób. Jeden np. z obozowych miał głowę roztrzaskaną kolbą i cały mózg na wierzchu, drugi podobno godzinę całą męczył się, prosząc o opatrunek i wodę, a wreszcie o dobicie go i nikt mu nie przyszedł z pomocą, chociaż podwórze roilo się od ludzi, wreszcie po godzinie ułiował się nad nim jakiś czerwonoarmijec i dobil go.

Jakieś się potem z ust naszych pozostałych dowódców, rzecz się miała tak: Gdy się nasi przekonali, że jesteśmy oloczeni (droga, którą mieliśmy jechać, była pod strzałami umyślnie na nią skierowanego kulomiotu), doktor naczelnny, widząc, iż nie możemy się obronić przeważającą siłą ani czekać na pomoc, chociaż na początku strzelaniny udało się jednemu oficerowi konno uciec, postanowił poddać się. Wszyscy ci, co strzelali, porzucili karabiny i zbrali się w naszych pokojach na górę; wówczas doktor zawołał przez okno, że tu jest personal szpitalny, a na ich wołanie o oficerów powiedział, że są chorzy i szpitalni i wszyscy poddają się. Wówczas na wszelki wypadek została rzucona przez okno bomba do pokoju, gdzie byli wszyscy, lecz na szczęście nie wybuchnęła i tłum bolszewików wdarł się na górę; następnie wyprowadzili wszystkich na podwórze szpitalne i tam, ołoczywszy ich, zaczęli kolejno mordować mężczyzn, według wskazówek chłopów, którzy wszystkich znali; gospodarza nawet zabił chłop własnoręcznie. Łalka Lansberg zasłaniała sobą doktora i wołała: »Nie ubiawajcie, cło doktor«, zagrożono jej bombą, a gdy to nie pomogło, została przemocą oderwana od niego, a on natychmiast zabił. Cudem tylko ocalał naczelnik transportu z dzieckiem na ręku; potem jakiś bolszewik pocziwy dał mu swoje ubranie okropne, zabierając wzamian jego odzienie, i to go ocaliło. Następnie wszyscy pozostali przy życiu zostali piechotą odprowadzeni do sztabu bolszewickiego, odległego o 5 wiorst; my zaś chodziliśmy po podwórzu między tą straszną gromadą, znajdu-

jąc co chwila kogoś nowego z pomordowanych. Ironicznie patrzano na nas, z dodatkami odpowiednich przekleństw, lajań i obielnic, że tak będzie ze wszystkimi Polakami, gdyśmy się starały naszym biedakom oczy pozamykać i ręce składać. Na nasze zapytanie, czy wolno nam będzie poznosić ciała, otrzymaliśmy odpowiedź: »Wsie oczeń razdrażeny i elo moźel dla was plocho akaniczyłsia«, nareszcie wskazano nam miejsce na podwórzu kuchennym, obok zlewu, znów z całą masą lajań pod adresem Polaków i naszych zabitych.

Przyniosliśmy nosze i znosiliśmy po dwie kolejno ciała, a dwie były przy chorych, niektórzy z zabitych byli bardzo ciężcy, już zeszlzywnieli i na nasze kobiece siły wprost nie do uniesienia. Nasza służąca, z Bereżania przywieziona, na naszą prośbę, by nam pomogła, roześmiała się. Wszystkich zabitych było 11, następnie przybył nam oficer, zamordowany w sąsiedniej wiosce przez chłopów kołami i przywieziony do nas.

Do tych strasznych chwilach trzeba było myśleć o chorych i o sobie. Poszliśmy na górę do swoich chorych, gdzie wszystko było poprzewracane, kufrы i walizy poroztwierane i większość rzeczy zabrana, kasa rozbita. Udało się nam zabrać trochę rzeczy, potem poszliśmy do magazynu naszego, gdzie zostało nam rozdzielone z naszych szpitalnych zapasów trochę kartofli, śledzi, krup i masła; trzeba było pomyśleć o kolacji dla chorych. Nasza gromadka powiększyła się o trzech żołnierzy z ochrony folwarku, schowali się oni w osłalniej chwili między naszymi chorymi; chorzy byli wszyscy postrzyżeni, a tych czupryny były kompromitujące. Jednego udało się ostrzyć i wypalić mu jodyną gruczoł na szyi, co zostało następnie zabandażowane; operacja ta codziennie się powtarzała, tak, że się biedak musiał potem leczyć, gdyż miał rany. A potem jakby przecuciem wiedziona, słabrykowałam im na kartce, gdzie sobie nolowałam zastrzyki, specjalną notatkę, że im się to leż robiło. Okazało się, że tu nami wprost palec Boży kierował: zjawił się marynarz i kilku czerwonogwardzistów, naturalnie znów od stóp do głów uzbrojonych, z karabinami skierowanemi na nas, co zresztą stale było praktykowane; byli oni prowadzeni przez chłopą, naszego kilkunastogodniowego pacjenta, który

trafnie zresztą, pokazywał tych, co strzelali, twierdząc, że to są żołnierze, a nie chorzy. Była to straszna chwila, ponieważ byłam od zastrzyków, więc sama całą sprawę musiałam załatwić. Z jednej strony ironiczne i badawcze spojrzenie tych, którzy może za chwilę mieli być naszymi kałami, a z drugiej strony — błagalny wzrok biednych trzech ludzi, którzy czuli, że jedno nieosłone słowo, gest mój nieopatrny może być dla nich wyrokiem śmierci; ale i łulaj Bóg nam dopomógł. Widząc, że bezczelność robi swoje, brnęłam coraz śmielej, nie zrażona powiedzeniem: »wriolie siestrica« (było to jedyne niegrzeczne odezwanie się bolszewików do sióstr), i przez cały czas pobytu u nas pełni byli uprzejmości. Ośmieliłam się też pokazać im moją kartkę, z której dziecko byłoby się domyśliło i poznało na szachraistwie, gdyż te trzy nazwiska były odmiennym ołówkiem napisane, ale nie wiem, czy im moja bezczelność za imponowała, czy poprosłu nie chciało im się tej sprawy podnosić, dość, że dali pokój. Ale kochany chłopak codziennie nam nowych naprowadzał i codziennie była ta sama historia, z tą tylko różnicą, żeśmy się sławały coraz bardziej pewne siebie.

Do tem wszystkim, co zaszło, trzeba było myśleć o karmieniu chorych. Do żadnych robót poza obrębem szpitala nie mogłyśmy używać tych trzech ludzi pod obawą zarzutu, że są zdrowi; więc noszenie wody, której moc wychodziło, tak, że najmniej trzy razy dziennie trzeba było chodzić do studni; dojenie naszych krów, na co po długich namysłach i targach dostałyśmy pozwolenie; to osłalniej zajęcie było najfragieczniejsze, jedna tylko z nas umiała doić, dla mnie była to męczarnia; współczułam też serdecznie biednym krowom, męczyłam je całemi godzinami, a one mściły się na mnie, wywracając jednym kopnięciem wymęczone przeze mnie mleko lub zanurzając w nie swój ogon, a ten jeździł potem po mojej łwarzy. Jakaś poczciwa babina pomagała nam czasem w dojeniu. Z naszych licznych pacjentów dwie tylko kobiety okazały nam pewną życzliwość, a jeden chłop, ojciec naszego pacjenta, przyjechał z sąsiedniej wsi specjalnie, żeby się dowiedzieć, co się z nami dzieje. Wielką pomocą w naszych gospodarskich kłopotach było to, że między naszymi chorymi znalazł się jeden kucharz a drugi długolehni

pomocnik kucharza. Była to nasza opatrność, bo inaczej nie wiem, jakbyśmy z tego wybrnęli.

Powoli zaczęło się życie w tych okropnych warunkach układać. Żyliśmy z dnia na dzień, a z godziny na godzinę, będąc tak pewne, że nas jednak prędzej czy później zabiją, żeśmy tylko postanowiły nie dać się męczyć i przygołowałyśmy każda dozę truczyny, co nas bardzo uspokoiło. Podzieliłyśmy się pracą w następujący sposób: Irena Prechilko, jako najenergiczniejsza i najzaradniejsza, była naszym intendantem i zdobywała żywność i trzeba przyznać, że wcale dobrześmy żyli. Mielśmy herbatę, cukier, codziennie mięso, a raz nawet pieczeń z naszego cielaka, którego pozwolono nam zarznąć pod warunkiem, że połowę już upieczoną ofiarujemy przeznaczemu gronu. Zosia Wańkowicz była do wszystkiego, co się nazywało »Filusiem«; ja miałam opatrunki, co mi sporo czasu zabierało, gdyż prócz naszych kilku i to dość poważnie chorych, dwaj bolszewicy obdarzyli nas swoim zaufaniem, woleli leczyć się u nas, burżujskich sióstr, niż u swoich, których wyższość stale akcentowali, twierdząc, że to są wszystko osoby idej, które bez żadnych specjalnych przygołowań przedzierzgnęły się w siostry; widziałyśmy kilka z nich, niektóre dziwne robiły wrażenie, osób nie z fabryki, ale wprost z ulicy i to w najgorszym gatunku. Przyznać też trzeba, że ci ludzie widzieli różnicę między nami a swoimi siostrami; ofaczali nas nawet pewnego rodzaju szacunkiem; dowodem tego, że byli cały czas pełni uprzejmości, chcieli nas gwałtownie w roli sióstr załrzymać, a nasłępnie na pożegnanie całowali nas w ręce, bez żadnej poufalości, ale z wielkim szacunkiem. Przyczynili się do tego nasi chorzy, którzy opowiadali o nas niesłworzone rzeczy.

Tak ciągle odbiegam od tematu, że nikt chyba nie będzie mógł złapać wątku, ale wracam do swego. Ponieważ, jak wspomniałam, było kilku ciężko chorych, trzeba było wciąż czuwać przy nich. Wobec tego podzieliłyśmy między nas trzy, noc i codziennie dyżurowałyśmy po kilka godzin, zało we dnie stale była przy chorych S. Białkowska, zwolniona wobec tego od nocy. Chorzy nasi, jak już mówiłam, zajęli dwa pokoje; ciężiej chorzy leżeli na łózkach, lżej — na ziemi, na siennikach, a my urządziliśmy sobie spanie na korytarzu,

między drzwiami i piecem, gdzie dawniej trzymałam parę skrzyń z materiałami opatrunkowymi i krzywiłam się bardzo na tak ciasne i ciemne pomieszczenie, ale teraz uszczęśliwione byłyśmy z tego kącika, bo między chorymi dosłownie miejsca nie było, a gdzie indziej bałyśmy się, a zresztą, paląc same w piecach, manewrowałyśmy tak, aby ich najmniej potrzebować opalać. Paliwa dostarczały nam rozbite skrzynie, polamane drzwi i drągi do noszy, tak, że na szczęście nie potrzebowałyśmy drew pilować i rąbać. Kuchienkę szczęśliwie miałyśmy luź obok, a cały rozkład był tak dobry, że tworzyło to wszystko zupełnie odrębną całość z naszym korytarzykiem i pokojami dla chorych. Męczyło nas tylko to, że cały tydzień spałyśmy w ubraniach.

Co rano zapyływałyśmy, jaki los nas czeka. Z początku chcieli nas zaraz wywieźć, ale oparliśmy się temu, chcąc przedtem pochować naszych biedaków. Przez trzy dni leżały te nieszczęsne ciała obdarłe, poranione, straszne — chłopstwo urągało im i pasłwilo się nad trupami. Pacjent doktora naczelnego, którego on przez parę tygodni leczył, przychodził do ciała doktora, koląc go kijem i urągając przytem okropnie ku wielkiej radości stary całej bab i chłopów.

Cale trzy dni dopraszałyśmy się pozwolenia pochowania tych nieszczęsnych trupów, wreszcie po długich dopominaniach się i prośbach chłopci powiedzieli, że wykopią dół, ale za pieniądze. Tu zaczęły się łargi, gdyż zostałyśmy z kilkunastoma rublami (cały mój depozyt dostał się w ręce rabusiów). Wreszcie ślanęło na trzech rublach od ciała. Wybrałyśmy w ogrodzie miejsce pod świerkiem. Jak tylko dali nam znać, że mogiła gotowa, przyszłyśmy, zabierając parę ocalonych farluchów i prześcieradeł dla przykrycia trupów. Nad wykopanym grobem stała cała gromada chłopstwa, dowcipkująca, rozradowana. Trzeba było przynieść ciała — nikt się nie ruszył, nosiłyśmy i pomagało nam kilku pocziwych gwardziściów; nasłępnie zaczęło się rzucanie ciał z łosy, tak wprost, jak który upadł. Zeszłam w dół, aby jakoś ułożyć prosto te nieszczęsne ciała; padały one jedno po drugim, a każdemu towarzyszyły szalańskie wprost dowcipy i wybuchy śmiechu. »Naczelnik doktor, idi, budiesz w ziemi naczelnikował«. Ludzie, ci, stokroć gorsi od zwierząt, zapomnieli, że

gdyby nie doktor, kilku z nich byłoby już w grobie. Widząc, że sama nie mogę dać rady, jeden pocziwy czerwono-gwardzista zeszedł do dołu i pomagał układać trupy, widocznie oburzony zachowaniem się tubylców. Jeden z chłopów zawołał na cały głos: »Was, Paljakow, nad wsiech ziemliu« — i miałam wrażenie, jak się później dowiedziałam, słuszne, że miał wielką ochotę pogrzebać mnie żywcem w grobie; chroniła nas tylko obecność czerwonej armii. Gdyby mnie mój pomocnik nie był odciągnął wpórę, byłabym przytłoczoną jednym z trupów, gdyż i to należało do sportu wdzięcznych tubylców. Wreszcie składanie było skończone. Zaczęłyśmy rzucać grudki ziemi, chłopci żwawo sypali zmarzłą ziemię, wkrótce sterczały tylko tu ręka, tu strzęp ubrania. W ostatecznej chwili przywieziono nam nieznanego ulana z łzieciego pulku, musieliśmy go złożyć na wierzchu, bo miejsca nie było. Wśród tej gromady rozbestwionej, uklękłyśmy i zaczęłyśmy mówić »Anioł Pański«. Ani jedna czapka nie została zdjęta, ani jedna ręka nie zrobiła znaku krzyża, a byli tam między nimi niestety i Polacy! I przyszła taka chwila, że po tych dniach męki i panowania nad każdym swoim ruchem i słowem straciliśmy moc nad sobą, i wszystkim nam się głos załamał; nie byliśmy w stanie dalej mówić pacierza. Ogarnął nas wstyd, że wobec tej tłuszczy, patrzącej na nasze łzy z radością, nie możemy się zmusić do spokoju; ale nie byliśmy w stanie. Dopiero odezwanie się w ordynarny, brutalny sposób ze wstrętnym uśmiechem stojącego obok mnie młodego parobczaka: »Wam czołło siostryca, doktor oczeń nierawnoduszen« podziało na mnie jak policzek, i tracąc równowagę odpowiedziałam mu, że nawet pies się przywiązuje, a cóż dopiero my, cośmy prawie dwa lata pracowały razem i nigdy słowa złego nie słyszały od swych współtowarzyszy. Teraz byliśmy swobodne i mogłyśmy jechać, nasi byli pochowani. Chciałyśmy się dowiedzieć, co będzie z nami. Jeden z bolszewików proponował nam ucieczkę, ale nie mogłyśmy opuścić naszych chorych; jeden z nich przeżył w czasie naszej niewoli kryzys, przy ciężkim zapaleniu płuc, tak że były chwile, w których traciłyśmy nadzieję utrzymania go przy życiu. W tych ciężkich chwilach, w samotnem czuwaniu nocnem przy chorych okropne były łwarze, przylepione do okien,

obserwujących nas »naszych opiekunów«. Komicznie to brzmi, ale warta bała się i w nocy nie chcieli nas pilnować u nas, zadowolając się obserwowaniem nas od czasu do czasu z podwórza. Miałyśmy wrażenie, że traktują nas jak dzikie zwierzęta w klatce, ale mimo to niebezpieczne. Najlepszym tego dowodem było, że proszono, aby jedna z nas udała się do sąsiedniej wsi do poparzonego dziecka; jeden opiekun, chociaż uzbrojony od stóp do głów, nie chciał sam ze mną jechać, musiałam się więc starać o drugiego opiekuna. Osobiście miałam też bardzo ciężkie chwile, może się to wyda dziwnem, dramatyzowanie, wobec tych strasznych przeżyć, ale dla mnie była to ostateczna kropla; los mi niczego nie oszczędził. Widziałam moje kochane, wyczyszczone w ostatnich czasach, jak dzieci konie, jak je rozchwyliwali z pośpiechem, jako najlepsze ze szpitalnych. Połam widziałam na »Lubce«, która z powodu rany dla innych była zła, gryzła, a mnie, mimo, iż jej ból zadawałam przy zakładaniu opatrunków, zawsze liła po rękach, jadącego jakiegoś straszego marynarza. Raz idąc do studni usłyszałam rżenie. To biedna »Nelly«, zaprzęgnięta do sań, którymi, o ironjo, miała wieźć instrumenty, dwa lata przeze mnie zazdrośnie strzeżone, tak że w razie choroby czy nocnego dyżuru danie do nich klucza komukolwiek równało się nieszczęściu. Ta biedna Nelly w chłopskiej uprząży za malej i za ciasnej na nią, poznała mnie zdaleka i rwała się przywiązana do słupa, biedna, głodna, nienapojona, tuliła się do mnie i miała takie smutne oczy!

Wreszcie po sześciu takich dniach powiedziano nam, że jedziemy do Rohaczewa, gdzie o ile nie zechcemy pracować u bolszewików, zabiorą nam chorych i wysłają nas do Symbirsku. Usłudni chłopci zjawili się z masą sań, okryłyśmy, jak się dało, naszych dwóch leżących chorych i pojechaliśmy z miłą przestroją, że pewnie nas chłopci wyklują po drodze, chociaż miałyśmy eskortę. Było nam już tak wszystko jedno, tak byliśmy moralnie przemęczone, że nas to mało wzruszyło. Po trzech godzinach drogi, którą odbyłyśmy częściowo jadąc, a częściowo biegnąc za saniami, gdyż był silny mróz, przybyłyśmy do Rohaczewa. Zaczęło się odsyłanie nas od Annasza do Kaitasza; jeden szpital się bał, wreszcie dosta-

liśmy się do szpitala Związku Ziemskiego, gdzie siostry Rosjanki przyjęły nas z niesłychaną serdecznością, choć za swe sympatie okazywane Polakom były źle notowane, a obecność nasza (siostra Polek) była wysoce kompromitująca. Chorzy, jak chorzy, ale my byliśmy zawsze reprezentantkami burżujów i ich obrońców, znienawidzonych Polaków. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że nie mają już ochoty wysłać nas w głąb Rosji: byliśmy wolne. Chcieliśmy czekać możności przedarcia się do Bobrujska, ale nie mogliśmy kompromitować naszych pocziwych gospodarzy. Pieniędzy na mieszkanie w hotelu nie miałyśmy, nie zostawiało więc nic innego, jak jechać do Mińska. Przy rozstaniu z naszymi chorymi popłakaliśmy się wszyscy, przez tych kilka dni tyleśmy razem przeżyli.

Przybyliśmy do Mińska wieczorem, a w nocy miasto przeszło w polskie ręce. Skorzystaliśmy z trena z pierwszej okazji dostania się do Bobrujska wraz z odpowiednimi papierami, aby wydobyć ciała naszych dla urządzenia im chrześcijańskiego pogrzebu i zabrania co się da z resztek majątku szpitalnego. Na drugi dzień po przejściu Tyłuniec w polskie ręce byliśmy już tam. Na podwórzu były jeszcze rdzawe plamy z krwi, na mogile stał krzyżyk z napisem przez nas zrobiony. Ci sami ludzie, którzy nas tak niedawno lżyli, kłaniali się nam teraz z psią pokorą, udawali radość z naszego widoku, parę bab ukłękło przede mną! Nie mogłam pałnąć na tę podłość, jak jedni drugih wydawali.

Musiałymy parę dni czekać, nim trumny porobili. Ciężka jeszcze bardzo czekała nas chwila — wydobywania ciał po trzech tygodniach, na szczęście przez cały ten czas panowały mrozy. Tyleśmy przeżyły ostatnich czasów — przeszło i to. Ten sam chłop, który nam tak wygrażał podczas pierwszego pogrzebu, teraz wyjmował jedno ciało po drugim, otrząsając ziemię z twarzy i domagając się gwałtownie wody dla umycia trupów. Czternaście trumien ruszyły jedna za drugą do Bobrujska, a niektóre wieźli ci sami chłopcy, którzy nas wieźli do Rohaczewa, ale jacy inni teraz. Cała prawie ludność męska zdolna do noszenia broni wyszła z bolszewikami i nie wracała, bojąc się zemsty. Zdążyli jednak nasi ludzie, których znaleźliśmy w Mińsku i z których kilku przybyło z nami po

ciała, zamordować trzech chłopów, którzy wydawali i mordowali naszych. Fortuna kołem się toczy. Pobyl nasz w Tyłuniach był straszny: na każdym kroku wspomnienia mile i jasne, a okropne z dni ostatnich. Te ściany postrzelane i ta straszna pustka, wiejąca na nas z każdego kąta. Pokoje nie uprzątnięte, jak bolszewicy je zostawili, wszędzie pełno słomy, śmieci, połamanych sprzętów, szkła polluczonego i te plamy krwawe. Te noce okropne pełne koszmarów; ciągle nam się zdawało, że idą po nas bolszewicy mścić się za tych trzech, których ludzie nasi bez sądu zabili. Ale w takich chwilach rozumiem rozkosz zemsty. Jeden z naszych ludzi przyjechał mścić swego przyjaciela i tak strasznie nam to opowiadał; co prawda, gdyby się do swego zamiaru przedtem był przyznał, nie byłibyśmy go wzięli, bo nie naszą rzeczą wymierzać sprawiedliwość — mimo jednak mego oburzenia, pojmowałam go.

Udało nam się odzyskać zaledwie dwadzieścia kilka koni szpitalnych, gdyż, co było dobrego, uprowadzili bolszewicy z sobą. Straciłam resztę nadziei odzyskania swoich klaczy, wiem, że ich już nigdy nie zobaczę, że one tam łesknią za mną, ale dla mnie już niema mojej Fali, Lubki, Nelly. Biedne, w poniewierce, służą tym mordercom.

Wykazy Czerwonego Krzyża zaroją się zapewne od imion kobiet z rodzin obywatelskich i arystokratycznych — pań, które nie wahały się zejść na tę drogę z ludźmi najrozmaitszych kategorii społecznych, uważając, że się tak wyrazimy, każdego rannego za ukwalifikowanego dostatecznie niedołą, by się nim zająć, jak najgorliwiej ratując życie jego w odlocie.

Sam skład Zarządu Czerwonego Krzyża dowodzi, że tak było w istocie. Czyłamy bowiem sprawozdanie z lat 1920—21, a w nim nazwiska: Anna Niezabiłowska, wiceprezesowa, członkinie: Maria hr. Komorowska, Felicja Garapichowa, Róża Łukasiewiczowa, Irena hr. Lamezanowa, Elżbieta hr. Połocka, Pawłowa ks. Sapieżyna, Helena hr. Tarnowska, Emilia Jędrzejowiczowa, chyba z pań pracujących w czasie obrony Lwowa jedna z najruchliwszych, nieustrudzonych; budziła też podziw w całym Lwowie w czasach jego przejść

wojennych. O żyjących mówią jednak na wystawie tylko wykresy i sprawozdania urzędowe...

III.

KOBIETY PRACUJĄCE SPOŁECZNIE.

Prócz wymienionych pracownic niewieścich na polu bitwy, czy też w służbie kurierskiej lub sanitarnej, były i inne: jedne oddawały się pracy o charakterze społecznym, a nawet politycznym, drugie pracy nawskróś narodowej i obywatelskiej.

Do przywódczyni pierwszej grupy należała Maria Dulębianka di Alba Luña Alabanda, kobieta niezwykłych zdolności, gorąca patrijotka, urodzona do posłowania w trudnych kwestiach politycznych, do których trzeba było nie tylko rozumu, ale i niepospolitej odwagi cywilnej. W wystąpieniach swych publicznych, przedwojennych, domagając się równouprawnienia dla kobiet polskich, poruszyła niechętnych sobie jak rój złośliwych szerszeni. Nie wahała się nawet wówczas porównać jej z osławioną mis Pankhurst. Będąc jednak



Maria Dulębianka.

przekonania, że pożytecznym członkiem swojego społeczeństwa może być tylko ten, kto posiada pełne prawa obywatela, śmiało o nie walczyła. Dopiero wojna, ta wielka mentorka o żelaznej dłoni, skierowała zabiegi ludzkie, tak mężczyźni jak kobiety, na inne drogi. Od chwili wybuchu wojny, mężczyźni walczyli orężnie, lub uprawiali zakulisową politykę świata, — kobiety, obżałowawszy tych, co odeszli na krwawe szlaki, obmyślały, co czynić, by przyjść im z pomocą. Ogół kobiet polskich, dojrzawszy ubóstwo naszych formacji woj-

skowych, czyli legionów, zakrzętnął się około zbierania funduszy, zakładania herbaciarni dla przejeżdżającego żołnierza, w dalszym ciągu wojny, gdy braki całemu społeczeństwu zaczęły dokuczać, zabrały się do zakładania sklepów, tak prywatnych jak spółdzielczych pro publico bono. Sklepy miały cel dwojaki, aby dać potrzebującym jakiś taki zarobek i aby zyskać fundusze na cele ogólne, bez wyciągania ręki po prosiebnem, po ulicach czy insytlucjach. Śmiało rzec można, że w tym względzie komitet, założony przez Marię Dulębiankę, pod nazwą »Komitetu Pracy Obywatelskiej Kobiół«, wyprzedził i przeszedł wszystkie inne. Założycielka jego bowiem, z bólem serca odłożywszy nieco politykę na bok, a także swoją ukochaną sztukę malarską, założyła i zorganizowała kilka sklepów, z których spożywczy aprowizowała przy pomocy Komitetu K. B. K. (Komitetu Biskupiego Krakowskiego), poza tem zorganizowała wyrób lorebek papierowych dla aprowizacji miejskiej, przyczem robotnice były najlepiej wynagradzane za pracę, mimo że lorebki dostarczało się mięsła taniej, niż to robili specjaliści-żydzi. Wyrób tych lorebek nie dawał jednak deficytu, przeciwnie, przynosił znaczne dochody, z których czysty zysk obracany był na utrzymywanie kuchni dla rodzin legionistów, na rozdawanie sypendjów, a w czasie uwięzienia legionistów w Szczypiornie i w Huszu pozwalał na udzielanie małych zapomóg dla samychże żołnierzy legionowych. Aż żalować przychodzi, że dla ram szczupłych niniejszego obrazu — i jego ekskluzywności, nie możemy wymienić kobiet wszystkich, które pod kierunkiem Marii Dulębianki i obok niej gorąco się w tych sprawach krzątały. Osoba Marii Dulębianki tak jest zrosnięta z historią obrony Lwowa z czasów wielkiej inwazji rosyjskiej, a polem ruskiej, tak stała się na gruncie Lwowa popularną, że dziś kobiety wszelkich stowarzyszeń i wszelkich odcieni politycznych, wyrывая sobie tę dzielną przewodczynię i walcząc o honor posiadania wielkiej Polki-obywatelki w swych kadrach. Z pochodzenia należała do sfer ziemiańskich z Sannockiego, dlatego ją tu pomieszczamy tytułem przynależności rodowej.

Uporawszy się ze sprawami praktycznymi, do których nie miała innego przygotowania, jak własne zdolności, subtelną

intuicję i dużo silnej woli, wracała do prac politycznych. Tak było np., gdy fala polityki rozwichrzanej i nienawistnej nam stawiała wciąż niepewny znak zapytania co do spraw Polski wogóle, a kresów wschodnich w szczególności. Wtedy Dulebianka postanowiła dotrzeć do Rady Regencyjnej do Warszawy. Uzyskawszy paszport na zjazd kobiet do Radomia, a dalszej nie mogąc uzyskać marszruty, przeciwnie, otrzymawszy zakaz przyjazdu do Warszawy, nie wahała się odbyć tej drogi z Radomia w przeciągu półtorej doby, furą przemysłników, na siedziskach, zrobionych z okrągłaków, wśród zgrai 22 Żydów i jednej przygodnej łowarzyszki. Przy osobistej rewizji na jakiejś stacyjce omal nie dostała się do ławki, gdyż rewidująca ją Niemka kładła już rękę na fatalnej pończosze, w której podróżowały papiery, przeznaczone do wręczenia przedstawicielom Rady Regencyjnej, a w nich śmiało obmyślany plan bronięcia nieustępliwie polskości wobec naszych nowych panów w Warszawie. Dolarłszy prawie cudem cało do Warszawy, wręczyła papiery jednemu z hrzecz regentów, księciu Lubomirskiemu.

Przyszł rok 1918, a z nim mnóstwo sposobności oddania społeczeństwu polskiemu na gruncie Lwowa usług nieocenionych. Toż Dulebianka krzątała się w Komitecie Obywatelskim Polek (który był połączeniem Kom. Pracy Obywatelskiej Kobiet z Ligą Kobiet), dumna jest z formującej się służby kurierskiej w łonie tego komitetu, żałuje jedynie, że wiek i odraza do widoku krwi, przyprawiająca ją o omdlenia, nie pozwalają jej przyłączyć się do szeregów późniejszej Legii Kobiet, która właściwie wyszła z pierwotnej formacji kurjerek, pod kierunkiem wspomnianej już Aleksandry Zagórskiej. Pracuje za to tem intensywniej w Tymczasowym Komitecie Rządzącym (urzędował w Izbie Handlowej) i porozumiewa się z misją francuską. Władając świetnie językiem Gallów, — z łatwością wypowiada przed dostojnikami Francji swoje i społeczeństwa polskiego poglądy i nadzieje poparcia nas przez Francję. Jedną z tych konferencji napelniała Dulebiankę niespodziewaną radością, kiedy w czasach krytycznych, omawiając sprawy ruskie, powiedział jej generał Barthélemy poufnie: »Dites aux vôtres qu'ils lâchent aller toujours en avant, le reste se fera de soi-même«. Było to bowiem wy-

rażnem zapewnieniem, że nasi obrońcy nie walczą o swoje granice daremnie, byle je zdobyli, Francja akceptować je będzie.

Innym razem w chwilach przełomowych dla Lwowa, w drugi dzień Bożego Narodzenia 1918 r., wyjechała z kilkunastu delegatkami Komitetu Obywatelskiego Polek do Warszawy na zjazd takichże komitetów kobiecych. Powrót do oblężonego Lwowa, pozbawionego światła i wody, mógł być fatalny i był nim rzeczywiście dla dwóch delegatek: jedna z nich bowiem, panna Dobijanka, otrzymała w pociągu kulę w biodro, drugiej — pannie Nowickiej pocisk zerwał czaszkę, zabijając ją na miejscu. Reszta pań, wśród nich obecna prezydentowa Michalina Mościcka, dojechała w dwa dni później cało, mimo, że ledwie garść żołnierzy naszych biegła na stacji w Zimnej Wodzie, by bronić pociągu przeciw zbliżającym się Rusinom. Dulebianka wróciła również cało z tej niebezpiecznej podróży, aby służyć jeszcze Lwowi i Polsce przez parę miesięcy, dopóki śmierć nie położyła kresu jej życiu. Tak żywo brała ucisk ruski z jednej strony, a losy naszych orłów z drugiej, że w jednym z dni, przepełnionych niebezpieczeństwem, przeszła sama na stronę polską, porozumiała się z kim należało i wróciła tuż pod boki patroli ruskiej, by stwożonym przynieść dobre wieści i dodać otuchy.

Tymczasem po stronie ruskiej poza Lwowem cierpieli nasi jeńcy coraz gorsze męki w oślawionych obozach jeńców w Tarnopolu, Mikulińcach, Kołomyi. Wtedy to Naczelnym Tymczasowym Komitecie Rządzącym postanowił wysłać delegację pod osłoną Czerwonego Krzyża, w celu zbadania na miejscu losu uwięzionych i całej bardzo uciskanej ludności cywilnej. Aleksander hr. Skarbek zwrócił się do p. Marii Opieńskiej z prośbą zorganizowania takiej ekspedycji Czerwonego Krzyża. Początkowo lękały się panie jechać pod rządy hajdamackie i nie okazywały chęci wyjazdu, wreszcie znalazły się trzy odważne niewiasty, a mianowicie Teodozja hr. Dzieduszycka, Marja Opieńska i Marja Dulebianka (pojechała w zastępstwie Wiktorji Hozerowej, która z powodu złego stanu zdrowia wycofała się). Marja Dulebianka również czuła się niezbyt dobrze, gdyż była przemęczona pracą biurową, nie odpowiadającą jej zamiłowaniom, a więc mocno

nużącą, a w ostatnich latach wojny także nadmierną pracą społeczną, która ją absorbowała po dniach całych. Schody jej mieszkania (w domu pani Anny Lewickiej przy ul. Lelewela 5a) były od najazdu Rosji szczególnie zapelnione od wczesnej rannej godziny ludźmi, których przeróżna niedola wojenna gnała do nie zawodzącej nikogo orędowniczki uciśnionych. Drzwi mieszkania Dulębianki były nieraz w islnem oblężeniu, niby u wielkiego ministra, tylko nie otwierał ich wygalowany lokaj, ale najczęściej sama znużona opiekunka. I nie tylko słowem, radą, wstawiennictwem pomagała przychodzą-



Misja Czerwonego Krzyża u hr. Rejowej w Mikulińcach.

cym, ale i własnymi bardzo szczupłymi funduszami a nawet zapasami. Gdy się zdarzyło, że już nic innego nie było do dania, najbiedniejsi unosili bodaj resztkę cukru czy bułeczkę, przeznaczoną na śniadanie, i tak zbył spartańskie. Nie udało się załrzyć Dulębianki, w czasie wyjazdu misji Czerwonego Krzyża, gdyż nie chciała, aby ktokolwiek mógł przypuścić, że się boi wrogów czy też trudów takiej wyprawy. A trudy czekały naszą misję niemałe: po stronie ruskiej brak pociągów, noclegi u wrogich popów, aula, na które trzeba było czekać, wreszcie jazdy bez fułra, przygowały katastrofę (później otrzymały fułra od jednego z naszych obywateli). Na załączonej fotografii, na której misja jest przed-

stawiona z tamtejszym (po stronie ruskiej) komitelem polskim w domu Józefy hr. Reyowej, są panie: od lewej Maria Bogucka, Maria Opieńska, T. hr. Dzieduszycka, J. hr. Reyowa i Maria Dulębianka. Za paniami stoi nieodstępny ich anioł-stróż ruski, porucznik Oryszczyn. Na łwarzy sędziwej naszej Dulębianki widać ogromne znużenie; dla znających ją dobrze wyraz ten mówi o męce duszy, palzącej na błędne koło rządów ruskich, które swą bezwzględnością i dzikością nie wróżyły nic dobrego dla końca całej sprawy. Fotografia druga, z kliszy mocno zniszczonej (wzmocnionej rysunkiem malarki



Oddanie Misji Czerwonego Krzyża na stronę polską.

p. Wandy Korzeniowskiej), przedstawia chwilę, w której delegatki oddane były przez Rusinów w Kurowicach na stronę polską, by wrócić do Lwowa wówczas już wolnego. Z Winnik szły pieszo pod eskortą ruskich oficerów i trębacza, który co chwila dawał sygnały, że idą bezbronne, do których strzelać nie należy...

Umęczone delegatki wylat Lwów radośnie, ale cieszył się nimi niedługo. Maria Dulębianka po powrocie stanęła od razu do pracy w biurze, a nocą mimo upadania ze znu-

żenia i nurlującej ją choroby, pisała na skrawkach papieru sprawozdanie z misji Czerwonego Krzyża co dopiero odbyłej. Nie minęła jej wówczas jeszcze jedna ciężka misja, a mianowicie wręczanie rodzicom, których synowie byli przez Rusinów uwięzieni, listów od tych nieszczęśliwych! Gdy zaś po stronie ruskiej tych synów już nie było przy życiu, o ileż była ta misja cięższą do spełnienia! Pisząca była obecna pewnej chwili w biurze Dulebianki, gdy przyszło jej oznajmić panu Wacławowi Żmudzkemu, że syn nie żyje. Ojciec biedny wysłuchał w milczeniu, skłonił się i odchodził, po chwili jednak zawrócił i spytał cichym bezdźwięcznym głosem: »Więc pani mówi, że Wacio nie żyje? Czy dobrze zrozumiałem?«. Dulebianka tylko skinieniem głowy i uściśnieniem ręki była w stanie odpowiedzieć. Po odejściu ojca dowiedziałam się, w jaki bohaterski sposób skończył Wacio, syn ukochanej przez nas wszystkie współpracownicy Marji z Parniewskich Żmudzkiej. Schwyłany prawie blisko domu, do którego powracał chwilę przed zdobyciem Lwowa, odarty z ciepłego ubrania, w bluzce tylko popędzony był do Złoczowa. Tam już przyszedł ciężko chory i został oddany do szpitala. Nie chciał brać jednak leków od swych wrogów, a gdy dopuszczono doń księdza spowiednika, najprzylomniej podał, jak się nazywa, jak matki imię chrześne i rodowe, aby się rodzice nie ludzili daremnie, że żyje. Matka, dotychczasowa wytrwała i zapobiegliwa opiekunka kuchni dla rodzin legionistów, przyjęła wieść o śmierci uwielbianego jedynaka po bohatersku i ani na godzinę nie przywdziała żaloby dla tego, że syn zginął dla Polski... (Marja Żmudzka z Parniewskich jest córką obywateli z Kobryńskiego, w ziemi Gródzieńskiej).

Wrócić musimy jeszcze do ostatnich dni stania na posterunku M. Dulebianki. Mimo wyczerpania podróżą i chmur groźnych wiszących wówczas nad całą Polską, mimo nurlującej ją już choroby, pamiętała, że sprawozdanie trzeba oddać do biura prasowego wojsk naszych (Fredry nr. 2), a w czyściosie, który miała złożyć w Archiwum Miasta Lwowa, pamiętała o złożeniu pod nim podpisu swoich dwóch towarzyszek podróży. Udała się leż z nimi do pałacu Połockich przy ul. Kopernika, by mieszkającej tam misji francuskiej zdać sprawę z pobytu w obozach internowanych. Od tej

chwili zawiadnęła choroba, której się panie nabawiły w tych strasznych obozach, naprzód hr. Dzieduszycką, a w dwa dni później Dulebianką, wreszcie najodporniejszą Opieńską. Tyfus płamisty zmógł nasze działaczki, a w osobie Marji Dulebianki przerwał bogatą działalność malarki, polityczki, publicystki, wreszcie społeczniczki. Ciężko chorą przewiozła osobiście karetką pogotowia p. Jadwiga Moszyńska, nie chcąc do ostatniej chwili opuścić serdecznej przyjaciółki swej matki (p. Anny Lewickiej) mimo, że wiedziała, iż jadąc z chorą na tyfus płamisty mogła się z największą łatwością nabawić tej okrutnej w skutkach choroby. Tam, w pawilonie zakaźnych, pod troskliwą opieką doktorki Strzeleckiej oddana Dulebianka, przeżyła dni kilka zachwycając swą dobrocią nawet siostry zakonne, którym chciała odjąć kłopotu i ciągle za sprawiany kłopot je przepraszała, wreszcie w chwili najwyższej grozy dla Lwowa, w chwili wybuchu amunicji na dworcu Głównym, popadła w nieprzytomność i życie zakończyła zdala od wszystkich, którym tak wydatnie służyła. W chwili takiego popłochu i przynęcenia umysłów, nie dziw, że nie było komu ubrać zmarłej na tę ostatnią podróż bezpowrotną... Garść wiernych przyjaciół i pracowników społecznych z prezydentem Neumannem na czele, księdzem infułatem Zajchowskim i ks. kanonikiem Badenim odprowadziła wielką zmarłą, którą przy wórze niedalekiej polyczki, złożyła do grobu jej umiłowanej przyjaciółki, wielkiej pieśniarki Marji Konopnickiej. Żal za zmarłą był cichy, lecz dziwnie uroczysty i głęboki. Gromadka wiernych wyznawców jej zdolności, odwagi i patriotyzmu, nie mogąc się oderwać od żegnanej, stała długo w skupieniu nad podwójną mogiłą... Dopiero dnia 8 maja 1927 roku zwłoki Dulebianki zostały uroczystie przeniesione na cmentarz Obrońców Lwowa.

I jedno jeszcze słowo wyjaśnienia: na zarzut zrobiony piszącej, że nie garść, ale liczny zastęp odprowadzał Marję Dulebiankę do grobu w marcu 1919, stwierdzić należy, że wobec popularności, jaką się we Lwowie cieszyła, wobec rzesz, jakie za inwazji rosyjskiej snuły się za Dulebianką, gdzie się tylko pokazała, kondukt żałobny wydać się musiał — co najmniej znikomym — co tylko tłumaczyć się może nastrojem chwili.

Teodozja z Smarzewskich hr. Dzieduszycka, pracowała od początku wojny 1914 r. w szpitalach — w Wiedniu, Krynicy, Nowym Sączu, wreszcie jako jedna z sióstr Błękitnych w szpitalu na Technice, w którym pozostawała, mimo że w gmachach gościły strzały. Za swe trudy dla rannych nie przyjęła żadnego odznaczenia, uważając, że spełniony obowiązek starczy Polsce za całą nagrodę. Ostatnim etapem



Teodozja hr. Dzieduszycka.

jej służby — to wyjazd z misją Czerwonego Krzyża. Po powrocie do Lwowa epidemia tyfusu zmogła tak szybko jej organizm, że nie pomogły żadne zabiegi lekarzy i rodziny, by ją wyrwać z rąk śmierci tak przedwczesnej i bezlitośnej...

Trzecia uczestniczka misji Czerwonego Krzyża to Maria Opieńska, jedyna z trzech zachowana przy życiu, cudem prawie. Z domu panna Gąsiorowska, córka obywateli

z Hrubieszowskiego, po wyjściu zamąż za lekarza dra Opieńskiego, osiadła we Lwowie i z nim pracą wieloraką związała się na zawsze. Tylko rodzajów prac społecznych miała się przed, w czasie i po wojnie, że bodaj przyjdzie nam się szlęszczać stylem telegraficznym, abyśmy żyjącej jeszcze i w pełni chęci do pracy nie sławili dłużej, niż te jej towarzyszy, które już odeszły na zawsze.



Maria Opieńska.

Już w roku 1911, w chwili, gdy Związek Sokoli zainicjuje skauting we Lwowie, należy do trzech organizatorek skautingu żeńskiego z panną Czarnecką, późniejszą Malkowską, i p. Smolikówną, późniejszą Grabską. Urządza pierwszą kolonję skaulek w Berezowie Wężym 1913 r., a w 1914 kurs instruktorski w Skolem na wielką skalę. Na kurs ten zjeżdżają



Instruktorski kurs Harcerski w Pieskowej Skale z Marią Opieńską.

uczestniczki z dalekich stron kraju, a nawet i z Petersburga przybywa panna Olszaniecka. Zakończenie kursu przerywa wielka wojna światowa. Za powrotem do Lwowa pomaga p. Opieńska przy formowaniu się legionu wschodniego, organizuje kursy sanitarne, czując ich bliskie zapotrzebowanie, organizuje też magazyny, zbiórkę pieniężną. Po wyjściu legionu wschodniego zgłasza się z resztą swych siolek i skautek, gdy Lwów zajęli Rosjanie dnia 3/IX 1914, do Pelagji hr. Skarbkówny, na Technikę. Odtąd jest jedną z siostr błękitnych, zawsze czynna, zawsze czujna na sprawy bliźnich, a szczególnie na sprawy polskie.

Wojna, wstrząsająca Europą, nie oszczędziła Polski a w niej szczególnie Lwowa, który był w różnych rękach i różnych miewał i znosił panów. Trzeba było mieszkańcom jego mieć się zawsze na baczności, a zajęcia i prace zmieniać według zachodzących potrzeb, o których decydowała dana chwila. Kto był zbliżony z grodem naszym, ten wyczuwał na sobie to prawo poległ wojennej zamieszki i nieraz sądzić mógł, że był rodzajem pilki w ręku jakiegoś dziecka-olbrzyma, mocno rozkapryszonego, a nieskończenie złego. Kaprysy tego losu minąć zalem nie mogły siostr błękitnych, wyrosłych na gruncie Lwowa, a z nimi i Marii Opieńskiej. 11ak listopad 1918 r. sprowadził nam braci Rusinów, pod których ciężką ręką, dobrze uzbrojoną, ugięliśmy się chwilowo. Opieńska nie traci i, w tedy czasu na długie namysły, pracuje gorliwie w Sokole, a już w parę godzin po zawładnięciu przez Rusinów miastem organizuje w swoim mieszkaniu przy ulicy Senatorskiej, pogotowie sanitarne, w którym przebywało stale po kilku lekarzy. Pogotowie to zaopatrzyła p. Opieńska w nosze, opatrunki, jodynę i t. d. Do dyspozycji miała około 30 kurjerek do pomocy. Zaraz w pierwszych dniach otrzymała rozkaz wysłania patrolu na wywiad na Persenkówkę, podpisany przez kapitana Wita Sulimirskiego, drugi rozkaz nakazywał przystawienie rannego z Żelaznej Wody. Zgłosiły się 4 ocholniczki do spełnienia tej niebezpiecznej służby: panna Kamila Kwapińska, Stanisława Wasilewska, skautka, Ausbergerówna Jadwiga i Wanda Lechowin, późniejsza legionistka. Wyszły razem, lecz nie doszedłszy do Persenkówki, zostały przytrzymane przez Rusinów, wy-

wiezione koleją za Dawidów i tam puszczone na szczęście wolno w polu. Przyszły piechołą, zbiedzone, wystraszone, przenocowawszy w Sichowie, i dopiero drugiego dnia ślały we Lwowie. Wiadomości naszej komendy bywały czasem nieścisłe i narażały na niebezpieczeństwa nasze bohaterkie i ofiarne dziewczęta. Drugi więc raz z obawy przed powłózeniem się nieudalej wyprawy, prowadziła je osobiście Opieńska z raportem na drugą stronę miasta; wszystko odłaziło szczęśliwie bez przygód jak powyższa.



Maria Opieńska Podpor. Ochóln. Legji Kobiet
z Kompanią Sanitarną.

W czasie listopada pamiętnego porozumiewała się w sprawie kurjerek z Aleksandrą Zagórką, która organizowała kurjerki w lokalu Komitetu Obyw. Polek (przy placu Akademickim nr. 11). W grudniu i w ciągu całej zimy pomagała w dalszym ciągu w organizowaniu legionistek. Dnia 1 kwietnia została mianowana podporucznikiem (1920) z poleceniem zorganizowania i wyćwiczenia kompanii sanitarnej przy Ochólniczej Legji Kobiet. Wtedy pracowała głównie w koszarach bardzo niehigienicznych, przy ulicy Janowskiej, wzbijając tam, szkoląc i ćwicząc dziewczęta, a wyćwiczone rozprawdzając i rozdzielając po szpitalach dla praktyki.

Wśród tych okoliczności wypadł 25 stycznia 1919 r., pamiętny wyjazd misji Czerwonego Krzyża do obozów internowanych, po stronie wówczas ruskiej. Po drodze napotykała

nasza misja dwory i palace w ruinie częściowej, a niektóre i całkowicie. Gdzie udało się delegatkom zajechać, porozumiewały się z właścicielami, jednak z trudnością, gdyż nie odstępowały ich ani na chwilę żandarm ruski, por. Oryszczyn, poczynawszy od Kurowic aż do końca podróży powrotnej, śledził nasze panie i nie opuszczał ani na chwilę. Tak było między innymi i w zamku w Żurawnie, gdzie byli internowani księstwo Czartoryscy i były prezydent Rady Szkolnej Krajowej, pan Ignacy Dembowski. Radość z przybycia misji była widoczna u dostojnych więźniów, ale porozumienie z nimi nad wyraz trudne. Wtedy Marja Opieńska, wywzajemniając się chyłrym cerberom chyłrością, potrafiła odebrać listy bez niczyjej sankcji ni pozwolenia. Właściciele ziemscy musieli we własnych domach znosić niewolę tak dokuczliwą, że do pokoju pań wchodził nawet w nocy, po kilka razy, tak że od dwóch tygodni sypiały nie rozbierając się ze sukien.

W Mikulińcach zastały delegatki nasze pałac ogromnie zniszczony. Józefa hr. Reyowa i jej córka Marja spały w parterze, a na pierwszym piętrze leżeli nasi internowani na słomie, w brudzie, w kale własnym, zawszeni okropnie; trupy ich bywały po kilka dni nieusuwane, gnijąc wśród żywych. Jakże nasze delegatki, odwiedzając tych nieszczęsnych, schylając się do tych widm, aby móc ich szepć zrozumieć, mogły nie nabawić się tyfusu tam grasującego... Prócz tych biedaków z I piętra byli jeszcze inni, przeważnie powracający do domów z wojny żołnierze, prawie wszyscy chorzy, leżeli zduszeni formalnie w kilku pokojach w oficynie. Tyfus grasował wśród nich tak okropny, że lekarz, żyd, bał się wchodzić do tych zapowietrzonych mieszkań. Jakież chwile wobec tak polwornych stosunków musiały przechodzić panie Reyowe we własnym domu już nie przez dni całe ale przez nie kończące się tygodnie! Dokoła widziały męki i śmierć i same niepewne były dnia ni godziny. Mimo wszystko potrafiła jednak Marja hr. Reyówna uzyskać pozwolenie dostarczania żywności nieszczęsnym ofiarom ruskiego teroru i docierała do nich osobiście jak prawdziwy anioł-stróż, anioł-pocieszyciel. Dziwne, że w tych nieprawdopodobnych warunkach nie nabawiła się tyfusu, a dopiero po borbie ruskiej zmarła w niedługim czasie.

Sprawozdanie misji Czerwonego Krzyża, napisane zaraz po powrocie przez M. Dulębiankę nocą, gdyż w dzień pełniła służbę inspektoriki w biurze miejskim, złożone zostało w Archiwum Miasta Lwowa, podpisane przez wszystkie trzy uczesniczki, bruljon zaś oddany przez Dulębiankę do wojkowego biura prasowego i tam już po śmierci Dulębianki wydobyły z kosza na śmiecie (dzięki pomocy dra Orłowskiego), przechowują Lwowianki z pietyzmem w Muzeum Zasłużonych Polek.

Trudno dla tego dokumentu o lepsze umieszczenie, a dla Muzeum o cenniejsze dokumenty...

Dołąd mówiliśmy o obronie miasta i kraju, specjalnie Małopolski wschodniej, a mianowicie o obronie z bronią w ręku, z lekami i opatrunkiem lub dostarczonym rozkazem, który doręcza się tam, gdzie doręczająca równie prawie jak żołnierz narażona jest na niebezpieczeństwo. Istnieje jednak jeden jeszcze rodzaj obrony miasta czy kraju i najdroższych narodu wartości, niemniej trudny od wymienionych, a jest nim wytrwała, cicha i nieustępliwa praca obywatelska. Jakże szkoda, że z powodu ram zakreślonych niniejszemu szkicowi nie można choćby najpobieżniej przedstawić pierwowzoru poświęcenia się obywatelskiego w fanatyzmie każdej pracy narodowej i kulturalnej, jakaby dać się powinno w osobie senjorki Lwowa, niezmiennie zasłużonej w 63 r., Zofji Romanowiczówny, lub młodszej od niej Anieli Aleksandrowiczówny. Ileż to lat we dnie i po nocach słała panna Aniela w służbie polskość kresów wschodnich i zachodnich (Śląsk), w służbie T. S. L. Morze to pracy, niewywdzięczonej, nie nagrodzonej o ile mi wiadomo żadnym orderem, choć życie jej całe jakby wypite było przez Polskę na chwałę Bożą. Czyż wobec tego nie godneby stać obok ziemianek i innych dostojniczek czołowych naszej ziemi i naszego grodu? A w ich imionach nie wyczerpałaby się całkiem lista kobiet Lwowa, które mi szczyścić się możemy. Czyż nie postawiłybyśmy tam zasłużonej wobec całych pokoleń młodzieży redaktorki Anny Lewickiej, zawsze hojnej po pańsku, gdy szło o sprawę obywatelską, potrzebną dla kraju i użyteczną. Czyż mogłoby braknąć tak dobrotliwej, cichej, a niesłychanie wytrwałej w pracy Marii Argasińskiej, tego praw-

dziwego budowniczego bursy im. Boberskiej, a w niej opiekunki najlepszej uczących się niezmierzonych dziewczątek... I jeszcze tylu, tylu innych, zasłużonych a prawie zapomnianych kobiet!

Trzymając się jednak ram zakreślonych tematem, na ten raz musimy się skracać, mówiąc tylko o wybitnych kobietach



Wanda Ks. Czarłoryska.

z ziemiaństwa. Do tych cichych budowniczek polskiego ładu, na którego całość i szczęście przy każdej sposobności czyhali wrogowie Polski, Lwów może dodać i poszczycić się wielu innymi przodownikami. Do takich należy bezsprzecznie obywatelka-ziemianka z krwi i kości, Wanda księżniczka Czarłoryska. Rzadko społyka się kobiety o wyrobieniu charakteru tak jednolitem, jakim odznaczała się ks. Czarłoryska. W pracy społecznej, z której znał ją i podziwiał Lwów, nigdy inna, tylko spokojna, równa, w wyłkniętych drogach wyrwała. Taką była zawsze do dni ostatnich. W majątku swym Wiązownicy w latach młodości jeszcze zakładała szkoły dla dziewcząt wiejskich i warsztaty kilinkarskie, a z swego odnośnienia się do ludu słynęła w najdalszej okolicy i po całym kraju. Nie tylko była przez swe wiejskie pupilki chwalona, ale szczerze kochana. Gdy w latach późniejszych przeniosła się do Lwowa i często w nim przebywała, brała udział we wszystkich zrzeczeniach katolickich i narodowych. Jak niegdyś w Wiązownicy zajmowała się

żywo ukształceniem dziewcząt wiejskich, tak we Lwowie zwróciła uwagę specjalnie na szkołę gospodarczą w Snopkowie, która odłód ślala się osią jej starań i zabiegów. Oto co w tej kwestii pisze jedna z jej ukochanych wychowanek: »Ś. p. Wanda ks. Czarłoryska, uproszona w roku 1910 na przewodniczącą »Towarzystwa Gospodarczego Wychowania Kobiet«, związana ściśle węzłami pokrewieństwa z rodziną Zamoyskich z Kuźnic, uważa pracę w temże Towarzystwie jako dalszy ciąg myśli pani generalowej Zamoyskiej i oddaje się jej z całym zapalem. W roku 1911 tworzy »Komitet Budowy Seminarjum Gospodarczego« w Snopkowie, staje na jego czele, wkłada weń cały zasób energii i pracy, spędza całe noce nad planami i wyzyskując swoje słosunki, zbiera fundusze, łoży sama hojnie ze swej szkatuły, pragnąc budowę przeprowadzić szczęśliwie do końca. Wymagająca, twarda dla siebie, ileż wzamian wyrozumiałości, serca i ciepła posiadała dla drugih. Ś. p. ks. Wanda pracuje dla dobra i rozwoju zakładu poza jego murami, ale serce jej czuwa w Snopkowie, bierze żywy udział nie tylko w uroczystościach szkoły, ale i w życiu codziennym, pomaga słuchaczkom w pracy społecznej, w ochronce, apłeczce, i kocha każdą uczennicę tą serdeczną miłością czy troską, która sprawia, że w każdej widzi przyszłą pracownicę pożyteczną dla Polski. Ś. p. Wanda ks. Czarłoryska ukochała ideę Snopkowa nad inne, jej też poświęca ostatnich 10 lat pracy, troszczy się jej losem nawet rzucona wojenną zawieruchą w 1914 r. do Wiednia, czy później w czasie zamieszek ukraińskich przebywając we Lwowie po stronie polskiej, a nawet w chwilach, gdy złożona śmiertelną chorobą zwierza się księdzu Arcybiskupowi Bilczewskiemu, z myślą nieodslępną, że największą jej troską jest szkoła w Snopkowie i że dla unormowania egzystencji tej placówki chciałaby żyć jeszcze.

Szkoła snopkowska nie zapomni nigdy tego wielkiego serca, tej troski i pamięci o sobie i przekaze następny pokoleniom uczennic wspomnienie żywe tej niezłomnej postaci.

Prócz absorbującej pracy dla Snopkowa znalazła ks. Wanda czas i dobrą wolę, by się zająć oliarami wojny w Komitecie »Opieki nad żołnierzem polskim«. Tak była

czynną, tyle dawała Komilewici ze siebie, że po jej przedwczesnej śmierci, komilewici mimo swych najlepszych chęci jej następczyni rozluźnił się i został zwiniony.

Wanda ks. Czarłoryska należy do tak wyjątkowych postaci, że śmierć jej zubożyłaby każde inne, najlepiej skonsolidowane społeczeństwo, a cóż dopiero nasze, mające mimo cech szlacheńskich, tyle materiału wybuchowego, niejednolitego. Toć odejście jej przedwczesne zrobiło wyłom olbrzymi wśród pracowni społecznych nie tylko ziemiańskich, ale całego Lwowa.

W towarzystwach ściśle humanitarnych i katolickich, jak Towarzystwo Niewiast Katolickich, Towarzystwo św. Wincencego à Paulo, Towarzystwo św. Salomei, Towarzystwo Pomocy dla Inteligencji i innych, praca w czasie wojny nie ustawała. Może nie wyglądała tak świetnie i jaskrawo w oprawie piorunów wojennych, ale za to jakże była kojącą i trwałą. Niewiasty katolickie pod kierownictwem niezmordowanej Heleny Tadeuszowej Czapelskiej, a następnie równie gorliwej Róży Łukasiewiczowej, Tow. św. Salomei przez ćwierćwiecze kierowane rozumnie i bez wypoczynku, bez wyłączenia przez panią Papiarową — Towarzystwo Ochrony Dziecka z p. Abrahamową, Kruszyńską, Mrozowicką Ireną, siostrą założycielki ś. p. Zofii Mrozowickiej — niezapomnianej we Lwowie — i tylu innymi paniami, Towarzystwo nieco późniejsze, wykwił wojennych stosunków i nędzy — Niesienia Pomocy dla Inteligencji, pod kierunkiem pani Marii Radziwiłłowskiej, — wszystkie zadawały sobie trudu niemało w każdej akcji ogólnej, o czym pouczają specjalne wykazy, robione na wystawę poznańską, oprócz tego jednak strzegły pilnie swych stałych przedwojennych agend humanitarnych i kulturalnych. Towarzystwo św. Wincencego à Paulo z przewodniczącą Anną hr. Wolańską, pełną energii i wytrwałego stania na posterunku, nie mogło naślęczyć biedzie wojennej i powojennej, która Towarzystwo nieraz kompletnie szlurmem wziąć chciała. Ponieważ jednak wymienione przodownice społeczne cieszą się dzięki Bogu najlepszym zdrowiem, wstrzymujemy się od wyraźniejszego skreślenia ich trudów.

Z powodu zbyt krótkiego czasu dla wyczerpującego przedstawienia prac i wysiłków niewieścich w okresie polrójnej

obrony Lwowa i Małopolski (przeciw Rosji w 1914—15 r., przeciw Ukraińcom w 1918—19 r., a wreszcie przeciw bolszewikom w 1920 r.) pisząca ten pobieżny zaledwie szkic szkicu pomija na pewne wiele znacznych imion, a może i instytucji. Czyni to jednak z żalem serdecznym, gdyż kocha wszystkie tak instytucje polskie, jak i kobiety w nich pracujące, kocha i hold składa nie tylko niewiastom ziemiankom, ale pragnie go na tem miejscu złożyć wszystkim znaczącym obywatelkom Lwowa, a najchętniej pragnęłaby pisać o wszystkich i rozpowiadać radośnie o ich czynach i chwale następnym pokoleniom... Zanim jednak skończy dzisiejszy obraz w skrócie robiony, ogarniając raz jeszcze gorącym spojrzeniem akcję kobiet ziemianek na fte Lwowa, musi wymienić jedno ponadto słowarzyszenie niewieście, które w niniejszym albumie powinno się stać cenną, kowaną misternie, ale i mocno kłamrą. Jest niem »Zjednoczenie Polskich Chrześcijańskich Towarzystw Kobięcych«. Zdać się czasami rozmyślając o tej placówce, że my wszystkie jej członkinie same nie oceniamy jej znaczenia dostatecznie; nie doceniamy walorów tej placówki tak, jakby należało, nie tylko w obrębie Lwowa, ale nawet w całym kraju. Nie przesądza się tem samem, jakoby Zjednoczenie spełniło już swą misję i mogło spocząć na laurach. Bynajmniej. Raczej odsłania się jego cele i postulaty zakreślone na dalszą przyszłość, na jak najdalszą, w skulkach owocną i błogosławioną. Sama już nazwa Zjednoczenie przykuć powinna uwagę naszą. Już samo hasło, rzucone w społeczeństwo niewieście z okrzykiem Zjednoczenie, przepelnić powinno duszę poważnie myślących radością i stać się dowodem dwóch prawd niezbiłych: jedną jest konieczność jednoczenia się, — drugą radosne stwierdzenie, że Zjednoczenie już rozpoczęło się, że jest i żyje. Zuchwałemi prawdziwie niewiastami, które to zrzeszenie zainicjowały na burzliwym gruncie polskim, to ś. p. Antonina Machczyńska, Eleonora księżna Lubomirska i niesłudzona od początku Zjednoczenia jego sekretarka, dziś już ś. p. Wanda Kłosowska.

Drugi to raz w historii naszej widzimy tak śmiały krok, uczyniony przez niewiasty polskie w imię zjednoczenia. Kto zna lała, poprzedzając wybuch powstania słęczyńskiego,

rok 1861 i 1862, ten zachwycać się musi przedziwnem, nie-
 bywałem na naszym gruncie zbliżeniem się do siebie, po
 raz pierwszy może szczerem i ufnem, warstw, fortun, stanów
 i zawodów w czasie wspólnie obchodzonego »święconego«
 po całej Polsce i Litwie, i zbliżenie w czasie wspólnie odby-
 wanych nabożeństw, procesyj, pielgrzymek do miejsc świętych
 w 1861 r. Domorośli kryłcy wyśmiewali i ten zapal kobieć,
 ale mężowie stanu wrogów naszych umieli je ocenić i lekali
 się tego duchowego zbliżenia i zjednoczenia. Minister
 policji berlińskiej von Bärensprung nazywał to zbliżenie
 »mądrym«, najlepiej faktycznie obmyślanym środkiem walki
 bez broni w ręku. I stąd, tak pod zaborem pruskim, jak
 rosyjskim, a nawet austriackim wydawano srogie ukazy prze-
 ciw takiemu jednoczeniu się ludności, niesłuchanemu w dziejach
 naszego dumnego i zbyt arystokratycznie uwarstwionego
 narodu. Podkreślić tu trzeba, że jak obecnie tak i wówczas,
 motorem głównym owego zbrałania usiłowała stać się kobieta
 polska. Ruch ten cały nazwała historia »demonstracjami po-
 litycznemi« zamiast je nazwać katolicko-narodowemi. Istota
 tego zbliżenia na gruncie naszym była czemś tak wielkiem,
 tak pięknem i pełnem doniosłego znaczenia, że zakrywa
 i przysłania sobą pewne błędy powstania 63 r. i całą jego
 gehennę...

Dziwnym i szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w lat 50
 później, powstaje we Lwowie Zjednoczenie Polskich
 Chrześcijańskich Towarzystw Kobięcych. Jego
 śmiałe i przepiękne hasło przysłania dziś wszelką inną dzia-
 łalność w poszczególnych jej objawach. Powtarzamy sobie
 jeno wyraz — zjednoczenie i upajamy się jego dźwiękiem.
 Radość ogarnia nas kobiety polskie na myśl, że instytucja
 ta, dziś w zawiązku, ale pełna żywotności, dać może i da
 na pewne początek takimże zrzeszeniom w całym kraju
 i dokona kiedyś głębokiego, prawdziwego zjednoczenia.
 Stąd przyjdzie trzem inicjatorkom chluba niespożyta, że one
 to właśnie, one kobiety polskie, zrodzone na biednej, drogiej
 ziemi naszej, przyniosą jej odrodzenie i szczęście.

— Pomagaj Bóg! — woła zbieraczka pszennych kłosów.

